AS

Nr. 24
11 CZERWCA 1939 R.
CENA 40 GROSZY



IKAR XX WIEKU
Clark Gable w roli lotnika.

MIECZYSŁAW ZYDLER

Krążowniki

SZKIC

Coraz częściej odzywają się u nas głosy, żądające dozbrojenia Polski na morzu. Ale kiedy jedni chcieliby floty złożonej tylko z kontrtorpedowców i okrętów podwodnych, to inni gromko domagają się okrętów większych, przede wszystkiem zaś krążowników, których obecnie nie mamy wcale.

Z kolei przeciętnemu obywatelowi, który nieźle stosunkowo orjentując się w zbrojeniach na lądzie, o morzu wie nadal niewiele, narzuca się pytanie, co to są za okręty te krążowniki, jakie jest ich przeznaczenie i jakie zadania, czem wreszcie różnią się od okrętów innych klas.

Na wstępie należy stwierdzić, że krążowniki linjowe (zwane również bojowymi), a krążowniki bez tego przymiotnika — to dwie zupełnie odrębne klasy okrętów o odrębnych cechach zasadniczych i odrębnem przeznaczeniu.

Zapewne niewielu wiadomo, że pamiętny bój morski, stoczony w czasie wojny światowej na burzliwych wodach Skagerraku, doszedł do skutku tylko w wyniku zbiegu okoliczności, które snadnie za przypadkowe mogą być uważane.

Naczelny wódz wielkiej floty brytyjskiej, sir John Jellicoe, dostawszy meldunek ze specjalnego oddziału admiralicji, przeznaczonego do odszyfrowywania niemieckich depesz iskrowych, o bliskiem wypłynięciu na szersze wody całej niemieckiej floty dalekiego morza, pchnął na spotkanie nieprzyjaciela cząstkę swojej olbrzymiej armady.

Cząstka ta wyszła w składzie 6-ciu krążowników linjowych, 3-ch eskadr krążowników lżejszych i 27-miu torpedowców i kontrtorpedowców. Wódz owej straży przedniej, wiceadmirał Beatty, dostał rozkaz płynięcia szykiem czołowym, z daleko sięgającemi ubezpieczeniami i okrętami wywiadowczymi, aby zająwszy jak największy szmat morza, pomnożyć szanse odnalezienia nieprzyjaciela. Gdyby jednak okrętów niemieckich do godziny 15-tej nie spotkał, miał zawrócić ku brytyjskim siłom głównym i zrezygnowawszy z bitwy powrócić z nimi do baz operacyjnych.

Jakoż wiceadmirał, wbrew najgorętszym życzeniom swoim i podwładnych, płonących chęcią wypróbowania swoich sil na Niemcach, nie spotkał nigdzie nieprzyjaciela. Stosownie zatem do otrzymanych rozkazów nakazał o godzinie 15-tej swoim okrętom zwrot i począł płynąć ku głównym siłom brytyjskim.

Morze było wówczas nieco zamglone i temu zapewne trzeba przypisać, że żaden z obserwatorów obu wrogich sobie flot nie zauważył nic podejrzanego, pomimo, iż przez czas pewien płynęły one w jednym kierunku, prawie równolegle, w niewielkiej od siebie odległości około 30-tu mil morskich. Odległość ta jednak powoli się zwiększała, okręty angielskie bowiem były szybsze. Wszystko wskazywało na to, że do spotkania brytyjskiej „Grandfleet" z niemiecką „Hochseeflotte" nie dojdzie.

Ale widocznie musiały wmieszać się w to mityczne Parki, które ująwszy już w ostrza nożyc nici wielu tysięcy żywotów niemieckich Hansów i angielskich Tommies, nie chciały dać za wygraną.

I pomiędzy obu flotami, wzajemnie się nie widzącemi, ukazał się nikły, szary obłoczek. Był to dym z komina niewielkiego frachtowca duńskiego, który nie przeczuwając niczego złego, płynął spokojnie swoim kursem.

Natychmiast od lewego, a więc zachodniego skrzydła niemieckiego oderwał się krążownik lekki „Elbing" i pośpieszył ku parowcowi w celu wylegitymowania go. Ale dym ten nie uszedł również uwadze Anglików. I oto od prawego ubezpieczenia angielskiego skierował się ku niemu krążownik lekki „Galatea".

Na wynik tych poruszeń nie trzeba już było długo czekać. Oba wrogie krążowniki zoczywszy się wyraźnie, wymieniły serję pocisków. Granaty te, zresztą nieszkodliwe, były pierwszemi jaskółkami zbliżającej się bitwy, w której miano wystrzelać dziesiątki tysięcy ton stali — i czem prędzej zawróciły do swoich flot, aby zameldować wodzom o spotkaniu nieprzyjaciela.

Wiceadmirał Beatty nakazał swojej eskadrze ponowny zwrot, tym razem ku zbliżającym się Niemcom. Legendarne boginie dopięły swojego. Największa w dziejach ludzkości bitwa morska, która w razie wygranej Niemiec mogła była o 2 lata wcześniej zakończyć wojnę wielkim triumfem Germanji — widocznie z wyroku dziejów rozegrać się musiała...

Z tego fragmentu bitwy Jutlandzkiej wyłaniają się wyraźnie zadania krążowników, mianowicie krążowników lekkich, przedstawiających jeden z typów okrętów tej klasy: przeprowadzanie wywiadów i ubezpieczenie sił głównych.

Krążowniki lekkie wypierają od 3-ch do 8-miu tysięcy ton. Nie będąc przeznaczone do rozgrywania bitew na morzu, nie mają silnej artylerji, która też nie przekracza kalibrem 15-tu cm. Artylerja ta wystarcza do stawienia czoła napotkanemu okrętowi tego samego typu. Natomiast w razie zetknięcia się z okrętem silniejszym krążownik lekki winien szukać ratunku w ucieczce, a więc korzystać ze swojej szybkości, którą — kosztem opancerzenia — zapewniono mu bardzo znaczną, bo przekraczającą często 42 mile morskie na godzinę.

Niektóre państwa, uważając ten brak silnego pancerza za poważną wadę, obniżającą wartość okrętu, wyposażyły krążowniki lekkie w mniejszą szybkość, ale za to dały im odpowiednie opancerzenie, pozwalające na walkę nawet z okrętem silniejszym.

Tak np. uczynili Niemcy, których krążowniki typu „Karlsruhe", „Köln", „Leipzig", wypierające po 6 tysięcy ton, mają kadłuby z blach spawanych, nie zaś łączonych nitami, co dało poważną oszczędność na wadze i pozwoliło na obciążenie silniejszym pancerzem.

Drugim typem okrętów tej klasy są krążowniki, nazwane „waszyngtońskimi" w nawiązaniu do konferencji głównych mocarstw morskich, która odbyła się w roku 1921-szym w stolicy U. S. A. Na mocy wspólnego porozumienia ograniczono wtedy tonaż i uzbrojenie pewnych klas okrętów, między innemi również i krążowników, których wyporność nie miała odtąd przekraczać 10-ciu tysięcy ton.

Krążowniki „waszyngtońskie", wypierające od 8-miu do 10-ciu tysięcy ton, mają naogół pewne, niezbyt zresztą ciężkie opancerzenie, artylerję o kalibrze, przekraczającym nieco 20 cm, liczne wyrzutnie torpedowe (podobnie jak i krążowniki lekkie) i znaczną szybkość. Są przeznaczone do przeprowadzania dalekich wywiadów, do czuwania nad bezpieczeństwem komunikacji oceanicznej, wreszcie do wykonywania samodzielnych zadań, niejednokrotnie na wodach bardzo oddalonych od ojczyzny. Ich zasięg pływania sięga do 15-tu tysięcy mil morskich.

Trzeci i ostatni typ krążowników został stworzony przez Niemcy i to jeszcze przed dojściem do władzy narodowych socjalistów. Jest to jakby pośrednie ogniwo pomiędzy krążownikami i krążownikami linjowymi. Jak dotychczas posiada go tylko marynarka niemiecka.

W dążeniu do ominięcia uciążliwych dla siebie ograniczeń traktatu wersalskiego stworzyła marynarka niemiecka okręt, który wypornością swoją nie przekracza maksymalnych 10-ciu tys. ton (z zapasami paliwa i wody słodkiej — 14 tysięcy ton), wyposażony natomiast w silną artylerję (28 cm) i wcale poważne opancerzenie.

Okręt ten ma zasięg pływania bardzo duży, mianowicie 10 tys. mil morskich przy szybkości 20-tu węzłów. Przy zmniejszonej zaś szybkości 12-tu węzłów może opłynąć całą kulę ziemską nie zawijając dla uzupełnienia paliwa do żadnego z portów.

Był to pierwszy z tej serji krążownik „A", nazwany później „Deutschland", za którym w ślad poszły niebawem następne Należy otwarcie stwierdzić, że są to okręty w swoim rodzaju bardzo silne. Posiadając bowiem artylerję potężniejszą od okrętu tej samej wyporności, mogą go zwalczyć. W razie zaś spotkania okrętu cięższego, silniej uzbrojonego, od walki się uchylą, rozporządzają bowiem większą szybkością. Dlatego to, zważywszy cechy zasadnicze krążowników tego typu: silne opancerzenie i ciężkie uzbrojenie przy stosunkowo niewielkiej wyporności, nazwano je powszechnie „kieszonkowymi pancernikami".

We flotach innych mocarstw do niedawna niewiele było okrętów, które przewyższałyby jednocześnie uzbrojeniem i szybkością owe „kieszonkowe pancerniki". W miarę jednak stopniowego ujawniania napastniczych zamiarów niemieckich inne państwa zaczęły szybko się dozbrajać i dzisiaj przestało już być groźne zarysowujące się niebezpieczeństwo prymatu Niemiec na morzach.

Jak z tych wywodów wynika, Polsce najbardziej potrzebne byłyby krążowniki lekkie oraz krążowniki opancerzone, oczywiście — zważywszy ich wielki koszt — na własnej, krajowej stoczni budowane. Krążowniki opancerzone, dostosowane do warunków polskich, mogłyby kosztem zasięgu pływania uzyskać jeszcze cięższe opancerzenie i uzbrojenie od niemieckiego typu „Deutschland", stając się groźnymi pancernikami dla obrony wybrzeża.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
ZAŁOŻYCIEL I WYDAWCA: MARJAN DĄBROWSKI
REDAKTOR: JAN MALESZEWSKI
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA NUMERU W LITWIE 50 CT.
CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600. Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenia kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 24 **Niedziela, 11 czerwca 1939** **Rok V**



Fot. Magazyn „As".

W ub. sobotę nastąpiła uroczysta inauguracja „Dni Krakowa", w ramach których odbywają się tego roku specjalnie organizowane imprezy teatralne i muzyczne. Kraków jest też bardzo efektownie iluminowany. Na zdjęciu: Fragment Sukiennic na Rynku w nowem oświetleniu, wykorzystującem w pełni bogactwo architektury tej budowli.



Na lewo: Słynna tancerka malajska E. Devi Dja.

Devi Dja tańczy!

Od lewj: Devi Dja w kostjumie, używanym do tańca „srimpi". — ...oraz w tańcu świątynnym. — Kostjum tancerza, biorącego udział w eposie bohaterskim „Klęska Ratu Dana". — Piękny w swej prostocie kostjum tancerki, wykonującej taniec „Kołysanki".



Od lat panuje w Europie wielka moda na egzotykę. Zbliżyły ją do nas, spopularyzowały przedewszystkiem filmy, których treść zaczerpnięto z niezwykłych przygód, rozgrywających się na dalekich wyspach Oceanu Spokojnego. Oczywiście otrzymujemy tę egzotykę w formie dość banalnej, uproszczonej do zupełnie zewnętrznych, czysto rewjowych momentów widowiska egzotycznego, nie przenikających nigdy powierzchni, nie docierających do istotnego sensu widowisk Dalekiego Wschodu.

Wędrujące od miasta do miasta egzotyczne teatry widowiskowe dają nam poznać piękno tej sztuki już w o wiele szlachetniejszej, choć nieco i tak uskromnionej, przystosowanej do wymogów widza europejskiego, szacie.

Balet Devi Dja, którego występy budzą w Polsce niemałą sensację, pokazał naszej publiczności widowisko zbiorowe, składające się z wielu numerów, reprezentujących trzy różne typy tańca

Na prawo (dalej): Jedna z figur „Tańca Wampirów"

Na prawo (bliżej): Perkusiści malajscy.





RYSUNKI: JAN MARCIN SZANCER.

wschodniego. Jest to więc przedewszystkiem taniec obrzędowy, taniec folklorystyczny i taniec widowiskowy, najbardziej zbliżony do teatru, opowiadający kunsztownymi ruchami fantastyczne dzieje bohaterów mitologji indyjskiej.

Przedstawienie daje pełnię wrażeń wzrokowych, jest przesycone szlachetną gamą barwną, upajające monotonją muzyki instrumentów perkusyjnych. Wszystko to wystarczyłoby, być może, dla zdobycia aplauzu szerokiej publiczności, dopiero jednak znajomość Mudry, mogłaby nam dać możność prawdziwego rozkoszowania się tą tak bardzo skomplikowaną sztuką taneczną Wschodu. Mudra to zbiór szeregu przepisów, niezłomnych kanonów sztuki tanecznej, które określają znaczenie każdego gestu, przemieniają taniec w dramat „mówiony" ruchami.

Poniżej: Czołowa solistka zespołu Devi Mada.



Na prawo: Charakterystyczną cechą pięknych tańców malajskich jest ogromna giętkość ruchów tanecznych, przypominająca ruchy węża.

Niema w tańcu indyjskim czy jawajskim gestów przypadkowych, zbędnych. Kompozycja całości zbudowana jest na filozoficznej konstrukcji świętej księgi symbolów tanecznych. Mimo to taniec ten nie jest suchy, ale ma pełnię wyrazu, jest żywiołowy, porywa publiczność nieznanymi rytmami i niespodziewanem bogactwem przemian.

Najbogatszą pod tym względem skalę posiadają tańczone eposy rycerskie, których kilka pokazano nam w interesującym programie baletu Devi Dja.

Niezależnie od wysokiego ogólnego poziomu widowiska, wybija się ponad cały zespół kierowniczka zespołu Devi Dja. Jej wysokiej klasy kunszt taneczny, opierający się na prastarych tradycjach tancerek świątynnych Bali i Jawy, mógłby dać w ciągu tego wieczoru doskonałą, zamkniętą całość artystyczną. Kapitalnie opanowana technika poruszania wszystkich mięśni daje możność świetnej tej artystce tanecznego wysławiania się w niesłychanie różnorodny sposób, tak, że mimo pozornej monotonji, taniec jej gra rozległą gamą nigdy nie powtarzających się motywów.

Jedno tylko możnaby mieć zastrzeżenie: dotyczy ono dekoracji. Widowisko wschodu, ściślej indyjskie, wymaga, jako tła, albo prawdziwej, niemalowanej monumentalnej architektury świątyni, albo też prostej zasłony, jako pewnego rodzaju spuścizny po dawnym teatrze cieni, z którego przecież wywodzą się wszystkie widowiska teatralne Wschodu. Przywieziono nam natomiast dosyć tandetne, po europejsku namalowane dekoracje. Słabą tę stronę wynagrodziły zresztą sowicie przepiękne, oryginalne kostjumy balijskie i jawajskie.

W. S.



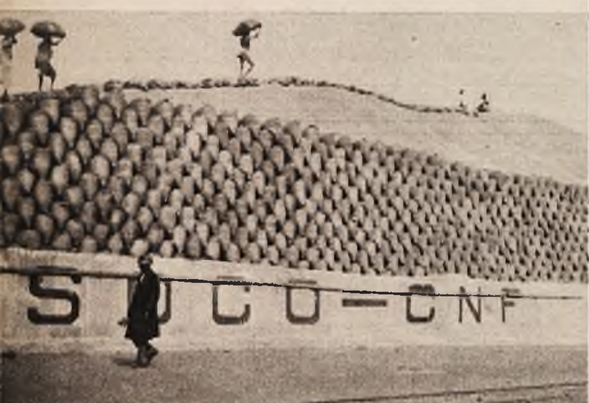
POLACY NA CZARNYM LĄDZIE: LISTY Z PODRÓŻY



Dakar: Avenue Roume, łączy w sobie budownictwo współczesne z architekturą miejscową. **Zdjęcia: E. i S. Podoscy.**



Rynek w Dakarze, zapełnia się w dni targowe egzotycznemi typami sprzedawców.



Góra Arachidów w porcie Dakaru obłożona workami celem wzmocnienia.

Na prawo: Fragment Algieru, widzianego ze statku.



P. Edyta Podoska, która wraz z mężem od początku b. r. zwiedza Czarny Ląd, dzieli się z Czytelnikami „Asa" swemi wrażeniami.

Casablanca.

Przed chwilą wróciliśmy na statek po zwiedzeniu Casablanki, która zasługuje istotnie na swoją nazwę: „casa blanca" (biały dom). Na tle niebieskiego nieba jest w pełnem słońcu cudownie biała, widziana od strony morza, a oglądana zbliska, zyskuje jeszcze na swej urodzie. Jest tu teraz początek wiosny, a zatem bogactwo kolorów czarujące, mimozy, róże, rozmaite krzewy kwitnące, które tak bym chciała przetransportować do naszych parków i ogrodów, palmy, drzewa iglaste i liściaste, a to wszystko na tle bieli i błękitu. Francuzi wybudowali tu piękne nowoczesne budynki oficjalne, ale zupełnie w stylu marokańskim, i w połączeniu z dekoracją roślinną uzyskali rezultaty czarowne. Tubylcza część miasta niezmiernie ciekawa, ale strasznie brudna. Burzą ją teraz, mam nadzieję, że tylko częściowo. Prześliczny jest również Algier, położony tak fantastycznie pięknie, że czasem... krzyczeć się chce!

— — — — — — —

Dakar.

Od wczoraj jesteśmy na Czarnym Lądzie i... marzniemy! Trochę mniej naturalnie, niż w Warszawie, niemniej jednak, wychodząc wczoraj wieczorem na spacer, kładłam na siebie różne ciepłe rzeczy. Wieje bezustannie silny chłodny wiatr i teraz w południe nawet w słońcu jest mi raczej za chłodno w moim granatowem paletku.

Dzielnica Dakaru, w której mieszkamy w „Hotel du Palais", jest najszykowniejsza i bardzo ładna. Nas, przybyszów z północnych śnieżnych rejonów, zachwyca tutejsza świeża zieleń i cudowne barwy kwitnących krzewów. Mury, balustrady i domy całe zarośnięte są cudownem krzewem „le bougainvillier" o długich giętkich gałęziach, zasypanych kwiatami o kolorze lila tak jaskrawym, że oczy trzeba mrużyć. Niedaleko nas jest pałac Generalnego Gubernatora Francuskiej Afryki Zachodniej, bardzo piękny, położony nad morzem; przed nim dzień i noc stoi czarna straż.

— — — — — — —

Dakar.

Zabrnęliśmy do pierwszego z głównych etapów naszej rzeczywiście bardzo długiej podróży. Gdyby nie palmy, czarne twarze murzynów, charakterystyczne werandy dookoła domów, no i konieczność wkładania kasków, łatwo możnaby ulec złudzeniu, że się jest w jakimś uzdrowisku w Europie. Dakar to jednak nie kolonja, lecz Francja „bardzo" południowa. Klimat również w tej chwili przypomina raczej Lazurowe Wybrzeże, niż tropiki. Pomimo zatem, że to już trzecie miasto, jakie poznaję na Czarnym Lądzie, po Algierze i Casablance — Afryka jeszcze do mnie nie przemówiła. We wszystkich tych miastach zachwyca wędrowców z mroźnej i śnieżnej północy przedewszystkiem — bogactwo zieleni i cudownie kwitnących krzewów. Kwiaty są właściwie tylko na krzakach, innym kwiatom trudno bardzo żyć na tym beznadziejnym senegalskim piasku, który przez kilka miesięcy nie widzi deszczu. Jest kilku ogrodników, którzy — trudząc się i mozoląc — zaopatrują wazony tutejszych domów, oraz butonierki panów w kwiaty, między innemi w nagietki i zinie. Dostawą tą zajmują się również kwiaciarnie w Nicei, które stale samolotem przesyłają duże ilości kwiatów, podobno nawet nie w specjalnych pudełkach, lecz poprostu w koszach. Bogata zieleń jest tu tylko przywilejem miasta, co wydaje się paradoksalne. Zaraz za Dakarem zaczyna się „brussa", krajobraz smutny i jednostajny. Trawa zupełnie spalona, gdzieniegdzie proso żółte i zmięte, i bezlistne w tej chwili baobaby, niesamowicie rysujące się na tle nieba.

Jeździliśmy nocą samochodem wzdłuż oceanu i wreszcie wylądowaliśmy w „reprezentacyjnym" lokalu Dakaru, rodzaju music-hall'u — dancingu, częściowo pod gołem niebem. Lokal ten prowadzi podobno trzech gangsterów, a ponieważ ma za cel efektownie reprezentować nocne życie Dakaru — finanse jego wspierane są jakoby przez pewnego matadora miejscowego. O ileż lepsze jest położenie tego „Bataclan'u", niż stołecznej Opery Warszawskiej!

— — — — — — — —

Dakar.

Byliśmy dziś rano w „Institut Pasteur", gdzie nam zrobiono zastrzyk przeciw żółtej febrze, zupełnie niebolesny. Taki zastrzyk właściwie nie jest konieczny, ale ponieważ daje absolutne bezpieczeństwo, trzeba więc z wdzięcznością korzystać z dobrodziejstw wiedzy, tem bardziej, że dobrodziejstwo to udzielane jest bezpłatnie i bezboleśnie. Instytut prześlicznie jest położony na cyplu półwyspu, z kilku stron otoczony oceanem, wewnątrz laboratorja na przestrzał oszklone, w hall'u na postumencie głowa Pasteur'a.

Widać tu dosyć dużo osób chodzących bez kasków, zwłaszcza pań, są podobno nawet takie, które podczas „hivernage'u" (deszczowej pory), kiedy słońce jest znacznie złośliwsze, leżą bez hełmu godzinami na plaży. Jedynym, zdaje się, rezultatem tej lekkomyślności, jak dotychczas, jest to, że w głowie nie zupełnie mają dobrze! Myślę jednak, że trochę bzika musiały mieć i przedtem, skoro tak się narażają! Kaski są rzeczą bardzo wygodną, bo usuwają z drogi życia problem kapeluszowy! Po zachodzie słońca panie chodzą przeważnie bez kapeluszy. Poza tem ułatwiają sobie życie jeszcze nienoszeniem wogóle i nigdy pończoch. Do sandałów wygląda to dobrze, ale przy cięższem obuwiu, które nakładają wieczorem do ciepłych sukien, kostjumów i palt, gołe nogi, nieprzyzwyczajonego do tego widoku bardzo rażą. Być może jednak, że elegantsze panie ubierają się stosownie do znanych nam prawideł: panie te są jednak mało widoczne, bo jeżdżą samochodami, albo siedzą w domu.

Poznaliśmy już dwa tutejsze domy, oba bardzo przyjemne, zarówno ze względu na mieszkańców, jak i na urządzenie. Znajomi nasi wozili nas samochodem po okolicy, pokazywali rybackie wioski murzyńskie nad morzem. Nad każdą osadą tubylczą wiszą stada sępów afrykańskich (charoniards), które są wielce cenione, gdyż spełniają rolę Zakładów Oczyszczania Miasta czy Komisji Higjeny, albowiem usuwają one do swych żołądków wszelkie odpadki. W czasie „hivernage'u" taki prymitywny, a naturalny system nie wystarcza jednak i wtedy wzmaga swoje działanie Komisja Higjeny, składająca się przeważnie z czarnych. Działalność

ta widoczna jest wszędzie, w czystości ulic, domów, na drzewach, których wszelkie otwory pozalewane są cementem, żeby nie lęgły się komary. W ogrodach wyrywają kwiaty, których liście stanowić mogłyby rezerwuar wody.

Dla informacji podaję, że samolot z Paryża do Dakaru odlatuje 2 razy tygodniowo w czwartki i w soboty wieczorem.

— — — — — — — — —

Dakar.

Do Dakaru już tak się przyzwyczaiłam, jakbym tu mieszkała od roku, choć dopiero dwa tygodnie tu jesteśmy i coraz mniej wydaje mi się, że jestem w kolonjach. Wszyscy mi mówią, że trzebaby pojechać wgłąb kraju lub bardziej na południe, aby zobaczyć miasta, czy osady o prawdziwie kolonjalnym i specjalnym „cachet", bo Dakar „ce n'est ni l'un ni l'autre", ani Europa, ani Afryka. Żyje się tu za bardzo wygodnie, tylko zabójczy jest ten straszliwy hałas klaksonujących samochodów, trąbiących wniebogłosy dorożek, przejmująco dzwoniących rowerów i wrzeszczących murzynów, których, normalnym tonem prowadzone rozmowy, poruszają cegły w murze.

Kilka dni temu zwiedziliśmy wyspę Gorée, oddaloną od Dakaru o 3 km. Właściwie przewodnik-książka ostrzega, że nie powinno się wyspy zwiedzać, lecz włóczyć się wśród rozpadających się ze starości domów w poszukiwaniu ponurych i pełnych czaru wspomnień tej najstarszej francuskiej kolonji. W XVI w. Holendrzy założyli na tej wyspie faktorję, potem kolejno przechodziła ona do rąk Francuzów, Anglików, ponownie Francuzów, Anglików, aby wreszcie w 1817 r definitywnie przejść do Francuzów. Stąd wysyłano transporty niewolników czarnych do Europy i pośrednio do Ameryki, było tu też ważne centrum wojskowe i morskie.

Dopiero w XVIII w. zainteresowano się półwyspem Cap Vert (który zresztą w poł. XIX w. opisał szczegółowo portugalski generał Polak Józef Chełmicki). Na półwyspie stoi wielkie miasto Dakar. Dokonano tu rzeczywiście cudów, bo na beznadziejnem piaszczystem pustkowiu wznoszą się teraz piękne, imponujące rozmiarami gmachy, ogrody, wspaniałe szosy. Bardzo dużo się tu inwestuje, wszędzie budują i domy rosną, jak grzyby po deszczu... którego tu — nawiasem mówiąc — od 3-ch miesięcy nie było. Mimo to brak jest w tej chwili trzystu mieszkań i b. trudno o pokój w hotelu.

Bardzo interesujące mieliśmy spotkanie z misjonarzem polskim w klasztorze w Thiès 70 km od Dakaru wgłąb kraju, należącym do zakonu „Les Frères du St. Esprit". Dowiedział się o nas i przyszedł nas odwiedzić w hotelu. Twarz ascetyczna, zapadłe policzki, płonące olbrzymie oczy. Był wachmistrzem w wojsku polskiem, dziwne koleje losu przechodził, zanim tu zawędrował. — Obecnie w Thiès prowadzi hodowlę białych myszek doświadczalnych, które dostarcza do „Institut Pasteur" w Dakarze i do wszystkich kolonij francuskich w Afryce. Dawniej myszy te sprowadzało się z Francji, co naturalnie było połączone z licznemi niewygodami, ale nikt nie chciał podjąć się niesłychanie trudnej i mozolnej pracy prowadzenia tej hodowli na miejscu. Ojciec Jan Kanty, wytrzymały i zawzięty, postanowił pokazać obcym, jak wytrwale umieją pracować Polacy i do jakich dochodzą rezultatów i od sześciu przeszło lat z niezwykłem samozaparciem i poświęceniem oddaje się tej pracy dla dobra ludzkości i nauki. Jest już bardzo zmęczony, chętnie odwiedziłby rodziców w Polsce i odpoczął, ale nikt nie może go zastąpić. Ma on kilku pomocników, ale tylko czarnych, których sobie wykształcił na doskonałych pracowników, surową żołnierską dyscypliną oraz dobrocią i sprawiedliwością, a przedewszystkiem przykładem. Ojciec Jan Kanty jest tu popularny zarówno wśród wysokich sfer administracyjnych (generalny gubernator przyjmuje go na audjencji), jak i wśród murzynów, z którymi biegle mówi ich narzeczem. *Dokończenie na str. 18-tej*

KĄCIK FILATELISTYCZNY



„Potop" znaczków francuskich wzbudził zrozumiałe oburzenie u wszystkich filatelistów „III Republiki" i złożono nawet oświadczenie, że będzie się bojkotowało niepotrzebne wydawnictwa pocztowe. Są to oczywiście „strachy na lachy", gdyż każdy katalog musi narazie klasyfikować wszystkie oficjalne wydawnictwa, które w rzeczywistości były w obiegu, niemniej jednak należałoby położyć wszędzie kres przesadnemu wykorzystywaniu każdej okazji do wyciągnięcia pieniędzy z kieszeni amatorów nowości.

Może który z naszych Czytelników wypowie swe poglądy na ten temat? **W. H.**

Strome ścieżki

JULJUSZ KĘDZIORA

FRAGMENT POWIEŚCI

Bolek jest już na ulicy. Przygryza wargi.

— Gdzieby się tu przespać? Możnaby u Tycjana, albo u Narcyza. Ale djabli wiedzą, gdzie ich teraz szukać.

Idzie kilkanaście kroków.

— No cóż — patrzy w niebo. — Mrozik lekki, deszczu niema, gwiazdy świecą, to jednę noc mogę spędzić pod gołem niebem. Tylko, że będę głodny. Cała noc...

Bolek wraca się do szynku naprzeciwko domu, w którym mieszkał.

Zamawia gorącą kiełbasę i małe piwo grzane.

— Dobrze, że dziś sprzedałem tego Słowackiego — myśli. — A szkoda go. Takie ładne wydanie.

Żałość łagodzi potężna porcja kiełbasy z musztardą i dwie kromki chleba. Bolek połyka to wszystko ze wściekłym apetytem.

Bolek, dzisiaj znowu prawie nic nie jadł. Wyliczył, że te pięć złotych muszą mu wystarczyć co najmniej na tydzień. Ale teraz, kiedy ma przed sobą całą noc, musi się przecież pożywić.

Stara się nawet jeść pomału, żeby użyć smaku. Ale nieda się.

W krótkim czasie kiełbasa znika.

Bolek pije piwo, pali papierosa i czuje się nawet nieźle.

Ostatecznie, nie stało się nic strasznego, że go Adler wylał. Nawet na rozum, trudno wymagać od niego, żeby tego nie zrobił. Cztery miesiące...

Bolek płaci i wychodzi. Przed szynkiem przystaje na chwilę i patrzy na balkon, na drzwi. Pomimo, że są zamknięte, słychać z za nich pijackie śpiewy tamtych czterech. Patrzy dosyć długo. Ziewa. Dreszcz go przebiega. Bolek rozgrzał się widocznie w szynku.

— Eee — macha ręką. Idzie. Pomału. Nie spieszy się. Człapie nad Wisłę.

Woda w niej czarna, nieruchoma.

Mijają go jesienne, spóźnione pary zakochanych.

Im dalej w górę rzeki, tem mniej świateł i ludzi, tem większa noc i cisza.

Gdzieś zdaleka huczą jeszcze tramwaje, ale coraz słabiej, coraz słabiej...

Przy brzegu leżą na wodzie galary z węglem.

— Jak one ładnie wyglądają! — staje i patrzy na nie.

Niektóre galary ciemne, na niektórych podskakuje dogasający ogień przed budką galarników, którzy już może śpią. Na jednym tylko galarze ogień pali się wyraźniej. Siedzi koło niego dwóch węglarzy. Gęby mają czerwone od ognia. Jeden je coś z blaszanki, a drugi kręci papierosa.

Bolkowi też zachciewa się palić.

Siada na wale i wydostaje papierosa.

Daleko na ciemnej wodzie leżą odbicia świateł latarni gazowych, jak długie, żółte laski. Nad niemi wisi ciężko ponury i słabo oświetlony most. Bliżej, ta czarna woda wiślana, zdawałoby się, że stoi, tak spokojna. A na wodzie jeszcze czarniejsze galary, jak jakieś płaskie, przedlodowcowe ryby-potwory, drzemiące przy brzegu. Błyskają resztkami ognia, jak gdyby powieki do snu mrużyły raz po raz. A koło okna najbliższego potwora-ryby ruszają się leniwie dwa stworki ludzkie.

Powoli, ognie przydusza ciemność. Ten, na pierwszym galarze też słabnie.

Ludzie wstają wolno. Przeciągają się.

Wchodzą do budy.

Płomyki ognia są coraz mniejsze. Podskakują w różnych kierunkach. Czasem już ich nie widać, tylko żarzącą kupkę węgla. A jednak jeszcze, jeszcze wysuwa się z niej słaby język płomienia, liźnie ciemność i kryje się szybko, jakby się jej przeląkł.

A woda wiślana stoi cicha, spokojna. I ona drzemie. Tylko poznać po ledwie widocznem załamaniu dalekiego światła, że jednak się rusza.

Na zamku wawelskim zegar wysypuje cztery cienkie uderzenia, potem, grubo wydudnia jedenaście. Jeszcze ostatnie unosi się w powietrzu, kiedy dolatuje silne bicie dzwonu zegarowego z wieży Marjackiej. Zaraz za tem nadąża pospiesznie niewiadomo skąd inny dźwięk wybijanej godziny. I zanim ten się rozleciał, jakiś zegar donosi jeszcze raz, że jedenasta godzina przepadła.

Bolek rzuca papierosa w trawę i patrzy, jak czerwony punkcik powoli gaśnie.

Od Wisły wieje mokrym chłodem.

Bolek wstaje i wraca ku miastu.

Idzie potem przez puste ulice, na których niema już ludzi. Tramwaje nie jeżdżą, co druga lampa jest zgaszona. Poza szkarpami starych murów leży uśpiony cień. Bardzo rzadko jakieś auto przemyka chyłkiem, albo przeczłapie swojsko, śpiący już także koń dorożkarski.

Jedna z dorożek wiezie, oprócz pasażera, kilka jego walizek.

— Pewnie na stację — myśli Bolek obojętnie. — A możeby tak iść też na stację i przespać się w poczekalni. Tam ciepło... Wszystkie włóczęgi tak robią.

Więc idzie na stację i ostrożnie wsuwa się do poczekalni trzeciej klasy.

Śmierdzi tam, jak zwykle w takich poczekalniach. Nie wszystkie ławki zajęte. Łatwo wybrać miejsce.

Bolek siada między babą, drzemiącą na tobołach, a inteligentem, opartym na walizce.

Patrzy bezmyślnie po sali. Sala czysta i schludna, ale jakaś zimna, obojętna. Reklamy, rozkłady jazdy rozwieszone przypadkowo, byle jak. Podłoga w jakimś ciemnym kolorze. Pod ścianami lawy, wypchane tobołami, koszykami, podróżnymi ubranymi szaro, czasem brudnie, czasem porządnie. Ale w słabem świetle lampy elektrycznej wszystko wygląda brudno i po dziadowsku.

Ludzie drzemią, świstają przez nosy, ktoś nawet chrapie mocno, w jakimś kącie rozmawiają półgłosem i tylko pojedyncze słowo wylatuje czasem silnie.

Bolek patrzy na to coraz bezmyślniej, przyjmuje wrażenia coraz tępiej.

Drzemie.

Drzwi otwierają się z trzaskiem. Przez poczekalnie przechodzi kolejarz.

Bolek się podrywa. Mruga oczami. Wodzi niemi po postaciach rozpartych, powykręcanych dziwnie, skulonych...

Lepka, duszna atmosfera przygniata mu głowę coraz niżej.

Bolek drzemie.

Ostry gwizd pociągu znowu podrywa mu głowę.

W poczekalni robi się ruch, zamieszanie. Jeden otwiera oczy, drugi się zrywa i ogląda za swojemi gratami. Gonią niespokojne pytania i odpowiedzi. Ktoś patrzy na zegarek... Ktoś inny ziewa szeroko, przyklepując ziewanie dłonią.

Ale to tylko pociąg ciężarowy.

Powoli ucisza się poczekalnia.

Powoli, z poczekalnianej ciszy wynurzają się śpiące świstania i pochrapywania.

Powoli opada Bolkowa głowa.

Bolek drzemie.

Czyjś kosz posuwany ramieniem śpiącego podróżnego, wali się ze stołu na ziemię.

Bolek podrywa głowę.

Właściciel kosza wymyśla rozespanego winowajcę. W tym koszu były jaja. Napewno się potłukły. Ten, taki owaki będzie za nie płacił. Jak nie, to właściciel jaj zawezwie posterunkowego.

Właściciel dowiaduje się w replice, że koszów i to do tego z jajami nie kładzie się na stole, bo od tego jest podłoga, oraz, że niepotrzebnie straszy posterunkowym, bo podróżny się go nie boi. Owszem, może go jeszcze sam wezwać, aby ukarał nieporządek, aby ukarał niechlujne stawianie koszyka na stole.

Poczekalnia przestaje chrapać, świstać, gadać i słucha uważnie, albo obojętnie, albo ciekawie, albo wesoło łajań powaśnionych.

Jaja stłukły się tylko dwa, interwencja posterunkowego niekonieczna.

Kwaśna i zadymiona atmosfera z powrotem przechyla ludziom głowy, wydostaje z nosów świsty, z ust chrapania.

Bolek drzemie.

Drzwi skrzypią. Ktoś wchodzi i wali butami po podłodze.

Bolek drzemie.

Wchodzą dwie osoby. Gadają głośno.

Bolek drzemie.

Schodzi się coraz więcej podróżnych, drzwi trzaskają coraz częściej. Gwar i ruch rośnie.

Bolek podnosi głowę.

Widzi, że posterunkowy sprawdza, czy wszyscy w poczekalni mają bilety. Wyłapuje włóczęgów.

Bolek wstaje i wysuwa się nieznacznie na ulicę. Zimne powietrze targa nim gwałtownie. Ale powietrze jest czyste, więc Bolek oddecha głęboko.

Idzie prędko, żeby się zagrzać ruchem. Nie namyśla się dokąd iść. Idzie byle gdzie.

Zwalnia, kiedy jest znowu za miastem. Ruch, rzeczywiście rozgrzał go trochę.

Bolek zapala papierosa.

Nie dobry, kwaśny.

Ale pomimo tego pali. Ma zajęcie.

Wlecze się coraz wolniej. Ciemno jest. Światła miejskie już się dawno skończyły. Gwiazdy nie świecą. Niebo zakryło się chmurami. Wieje lekki, ale ostry wiatr.

Bolek rzuca niedopałek, naciska głębiej kapelusz i wyżej podnosi kołnierz płaszcza.

Lezie drogą, mija jakieś domy, zagrody, jakieś drzewa, krzaki, jakieś coś...

Coraz mniej wyraźnie czuje, co mija.

Jest już tak zmęczony, że wszystko jedno, postanawia ułożyć się gdzieś i usnąć choć na chwilę.

Kładzie się pod krzakami, przy drodze. Ręce wsuwa pod pachy, żeby mu nie zmarzły.

Drzemie.

Przez sen czuje, że gdzieś biją dzwony.

Nie budząc się, uświadomia sobie, że to pewnie z Bielańskiej pustelni.

Potem śpi nieco głębiej.

Budzą go głosy ludzkie, które idą drogą i zatrzymują się niedaleko.

— Cóż to? Umarł kto? — pyta jeden głos.

Bolek się porusza.

— E, nie — odpowiada drugi. — To pewnie jakiś włóczęga.

Głosy przechodzą dalej.

Bolkiem targa straszne zimno.

Wstaje.

Wstaje też wolno późny, jesienny dzień.

Klejnoty

S. A. CHUDY
HUMORESKA

Stary lord Plumpuding, znany nam z niezapomnianej afery inspektora Barnesa, popełnił głupstwo. Mianowicie, wyjeżdżając na doroczną sesję parlamentu, pozostawił pałac, a co ważniejsze, wspaniałą kolekcję rodzinnych klejnotów, na opiece swej bratanicy, ślicznej, ośmnastoletniej lady Mary oraz starej, głuchej, ślepej i sparaliżowanej kucharki i lokaja-kataleptyka.

Nic zatem dziwnego, że w ten sam dzień, niejaki John Jack Smith recte Brown lub Braun, Amerykanin, bawiący czasowo w Londynie, otrzymał od przyjaciela swego i asystenta Dicka Rogersa, zwanego też „Grubym Tomem". depeszę takiej mniej więcej treści:

„Przyjeżdżaj. — Sroczka sama. — Wybierzemy pisklęta".

— O key — mruknął po przeczytaniu depeszy John Jack Smith, poczem spakowawszy teczkę, udał się londyńską taksówką wśród londyńskiej mgły na londyński dworzec.

Lady Mary miała, jak się już powiedziało, lat ośmnaście i była rzecz naturalna, prześliczną dziewczyną. — „Złote loki, cera jak płatek róży, drobne świeże koralowe usteczka, ogromne fiołkowe oczy", rasowy nosek, rasowe rączki, rasowe nóżki, a przytem wysmukła, pańska, angielska.

John Jack Smith, ot oczywiście złodziej, przemytnik, gangster. Chcąc nie chcąc, musiał więc być mężczyzną niskim, krępym, „byczego" karku, potężnych ramion, twarzy przypominającej buldoga z szeroką blizną, ciągnącą się od ust aż do skroni, znak szczególny: znamię pod lewą łopatką.

Dick Rogers, to drugie wydania Johna Jacka.

Lorda Plumpuding i jego głuchą, ślepą, starą i sparaliżowaną kucharkę znamy.

Lokaj kataleptyk jest postacią nieciekawą.

Barnes? Inspektor Barnes? — O, przepraszam, dyskrecja. Scotland Yard otoczony jest tajemniczością.

O godzinie dwudziestej trzeciej zero cztery, spotkał John Jack Smith Dicka Rogersa w knajpie pod „Księżycowym Bykiem".

— „Hallo" — rzekł na powitanie Smith i „hallo" odpowiedział Rogers, czemu nie należy się dziwić, jako, że obaj byli Amerykaninami.

Po kolacji Dick rozglądnął się uważnie wokoło, postawił kołnierz płaszcza, nasunął czapkę na oczy i rzekł:

— „Ośmnastoletnia, prześliczna lady Mary jest sama".

— Tak — odpowiedział John Jack Smith i zasłonił się olbrzymią płachtą, leżącego na stole dziennika, mimo, że w lokalu nie było nikogo.

— Jaki masz plan — zapytał donośnym szeptem „Gruby Tom".

— Prosty — odpowiedział po chwili milczenia John Jack i zapalił papierosa.

— No?

— Do zamku lorda Plumpuding udamy się piechotą. O godzinie zero dwa, zapukamy do bramy. Do drzwi podejdzie albo lokaj-kataleptyk, albo prześliczna lady Mary. Na pytanie: „kto tam", odpowiesz ty, udając lorda: to ja, twój jaśnie pan, albo to ja dziecino, twój drogi wujaszek. — Drzwi uchylą się. Wtedy ja nagłym ruchem wcisnę but w szparę. Jeżeli otwierać nam będzie lokaj-kataleptyk, oszołomię go potężnym ciosem w szczękę, a jeżeli lady Mary, zionę straszliwym przekleństwem, a ona, jak przystało dobrze wychowanej panience, zemdleje. Następnie odszukamy bez większych trudności skrytkę, zabierzemy klejnoty i pociągiem pośpiesznym, odchodzącym stąd o godzinie drugiej minut dwadzieścia pięć powrócimy do Londynu.

— Genjalny jesteś — rzekł Dick Rogers i uśmiechnął się złowieszczo. Gdy opuszczali knajpę, była godzina 23.30. Głucho dudniły kroki złoczyńców na opustoszałych ulicach miasteczka, wiatr wył ponuro, a „wyschnięte szkielety drzew, zdawały się wygrażać suchemi piszczelami idącym" (bo to było właśnie w jesieni).

Stało się, jak przewidział John Jack. — Punktualnie o godzinie zero dwa zapukali do bramy pałacu. Gdy po dłuższej chwili nikt się nie zjawił, Dick zapukał po raz drugi. Jednak i tym razem pukanie okazało się bezskuteczne.

A więc po raz trzeci!

Gdy wkońcu w pałacowej sieni rozległy się czyjeś kroki, w oczach Johna Jacka zatliły się żółte światełka, a Dick, zwany też „Grubym Tomem" szepnął: — zaczyna się!

W tej chwili zadzwonił słodziutki głosik lady Mary: — kto tam?

— To ja dziecinko — odrzekł Dick twój drogi wujaszek!

— Już wróciłeś — pytała lady Mary, manipulując przy zamku.

— Już, a dlaczego ty sama otwierasz?

— Bo lokaj-kataleptyk zapadł właśnie w kataleptyczny sen — zabrzmiało w odpowiedzi i drzwi uchyliły się.

John Jack Smith wcisnął but w szparę i zionął straszliwym przekleństwem. Lady Mary cofnęła się o krok, jednak nie zemdlała.

— Dziwne — pomyślał Dick Rogers, a John Jack był wyraźnie zdetonowany.

— Ach — zawołała lady Mary — to nie wujaszek.

— Nie! — rzekł sucho John Jack.

— W takim razie, czego panowie sobie życzą?

— Rodzinnych klejnotów lorda Plumpudinga!

Rasowe rączki i nóżki lady Mary poczęły drżeć, a fiołkowe oczy zrobiły się ze strachu okrągłe.

— Och! — zawołała — klejnoty są w mojej sypialni.

— Tem lepiej — odpowiedział Smith uśmiechnąwszy się lubieżnie, a „Gruby Tom" warknął: prowadź dzierlatko!

Lady Mary zawahała się, jednak po chwili ruszyła przodem. Gdy stanęli przed drzwiami sypialni, rzekła:

— Ale ja nie umiem otwierać skrytki?

— Natomiast my umiemy — zaśmiał się John Jack Smith i wszedł do pokoju.

W sypialni prześlicznej, ośmnastoletniej lady Mary, było zacisznie i przytulnie. — Płonąca różowa lampa dodawała nastroju a białe i jakże dziewicze mebelki uroku. Jednak John i Dick jako brutale, gansterzy i „cavemani" nie zwracali na to uwagi. — Oni myśleli tylko o klejnotach... Nic zatem dziwnego, że nie spostrzegli ani różowych firanek w oknie, ani kaktusika na półeczce ani atłasowej kołdry, ani leżącej obok łóżka koronkowej „combinaison".

A szkoda!

— Gdzie skrytka — zapytał John.

— Tam — odpowiedziała lady Mary wskazując na ścianę. — pod tym obrazem.

— Zdejm obraz — rozkazał John i Dick zdjął obraz. — Ukazały się stalowe drzwiczki z nastawianym na litery zamkiem.

— Spróbujemy na O. Z. — 15 — K. W., a jeżeli nie puści, nie jestem Smith, — zawołał John Jack i począł nakręcać litery.

Puściło!

Zadźwięczała srebrzyście sprężynka, zgrzytnął ząb ubezpieczający i...

— Genjalny jesteś — szepnął z zachwytem Dick Rogers, a Smith uśmiechnął się lekceważąco, poczem rzekł: no tym razem powiodło się nam i... — I nie skończył, bo oto skrzypnęły cichutko drzwi stojącej w rogu trójskrzydłej szafy i w ciszy rozległ się słodziutki, łagodny lecz równocześnie i stanowczy głos: — Panowie, rączki proszę do góry.

Dick i John odwrócili się momentalnie.

W szafie, ubrany tylko w pyjamę i w nocne pantofle, siedział w kucki z rewolwerem w ręku inspektor Barnes.

— Co? Jak? Kto? — bełkotał John, a „Gruby Tom" wogóle nie mógł wydobyć z siebie głosu.

— Mary najdroższa — ciągnął Barnes, — w lewej kieszeni mojej marynarki są takie takie no... no wiesz, takie łańcuszki stalowe, załóż je tym panom na przeguby.

Podczas gdy lady Mary okuwała Johna Jacka, Barnes wyszedł ze szafy i podchodząc do Dicka, zapytał: — no i co chłopcy, jak wam teraz w gębie?

Dick nie odpowiedział. Natomiast John Jack, popatrzywszy podejrzliwie na prześliczną ośmnastoletnią lady Mary, pokiwał głową i rzekł:

— I to się nazywa purytańska Anglja! — Nie spodziewałem się czegoś podobnego. Tfy!

JAPONJA

BOGDAN BRZEZIŃSKI

RYSUNKI: CHARLIE

Japończycy mieszkają na wyspach, na Dalekim Wschodzie. Jest to lud egzotyczny, mają skośne oczy, ale nie płacą złotówki grzywny za to, że mają oczy naukos...

Japończycy chodzą w kimonach. Pewien Warszawiak, który chętnie posługiwał się gwarą, twierdził, że kimono, to strój do spania, a nazwa jego pochodzi od słowa „kimać" — czyli spać.

Gruntowne jednak badania wykazały, że Japończycy chodzą w kimonach przez cały dzień. Japończycy mają żółty kolor skóry. To też o rumianej Japonce nie mówi się, że ma cerę, jak „krew z mlekiem", ale raczej jak „krew z żółtkiem".

Japończyk jest zawsze uśmiechnięty, chociaż na dobrą sprawę nic w tem śmiesznego, że ktoś urodził się żółty, niezbyt urodziwy i z oczami pod kątem 45 stopni Celsjusza.

Mimo to, jak się rzekło, Japończycy uśmiechają się pogodnie i są niesłychanie uprzejmi.

Japończyk nigdy nie powie swemu wrogowi: „ty bydlę!" — lecz omówi tę obelgę w sposób wyszukany:

— O, synu gwiazd! Jakże szczęśliwe jest podłe bydlę, że może być porównane do tak wspaniałego człowieka, jak ty, największy i najwspanialszy ze wszystkich łotrów świata!...

Japończyk jest nawet tak uprzejmy, że gdy mimowoli zrobi komuś przykrość, gotów jest popełnić samobójstwo. Japończyk nigdy się nie wiesza, ani nie strzela do siebie, lecz popełnia harakiri.

Harakiri polega na zoperowaniu brzucha, bez narkozy i bez chirurga. Naprzykład przychodzi sekwestrator podatkowy do Japończyka.

— Wnuku słońca — mówi, kłaniając się głęboko — czy raczysz zapłacić za podatek od kwitnących wiśni?

— Niestety, siostrzeńcze księżyca, nie zapłacę i dziwię się wogóle, że stawiasz podobne pytania człowiekowi, który nie ma yena przy duszy!

Sekwestrator blednie, jak śnieg na szczycie Fudżijamy i odpowiada drżącym głosem:

— Wnuku słońca! Jeśli cię dotknąłem, popełnię z największą przyjemnością harakiri!

Poczem, niby ten tonący, chwyta się brzytwy i wbija ją w brzuch.

Niestety — w Polsce niektóre rozsądne i pożyteczne zwyczaje japońskie nie przyjęły się i zazwyczaj rozmowa między sekwestratorem a podatnikiem wygląda zupełnie inaczej...

Japończycy miłują pokój.

To też od lat prowadzą wojnę z Chińczykami. Jest to takie włamywanie się do pokoju siłą...

Pismo japońskie, drukowane w języku angielskim, pod nazwą „Japan in pictures" („Japonja w obrazach"), wydało numer specjalny, pod hasłem: „Japan fights for peace" — „Japonja walczy dla pokoju"...



Wnuku słońca, czy raczysz zapłacić podatek od kwitnącej wiśni?



Japonja walczy dla pokoju!



...którzy je porzucają z arją na ustach.

— Dlaczego mnie bijesz? — spytał pewien słabeusz silnego draba.

— Ponieważ miłuję pokój, a ty mógłbyś ze mną zacząć!...

Tak się mniej więcej przedstawia sprawa wojny japońsko-chińskiej. Ponieważ narazie Japończycy mają pełne ręce, a właściwie pełne pięści roboty — nie zaprzątają sobie głowy sprawami europejskiemi.

To też odmówili biednym, okrążonym Niemcom podpisania paktu „ścisłej przyjaźni", obawiając się, że mogą zadławić się osią...

Władcą Japonji jest mikado. Natomiast „mikadko" niema nic wspólnego z Japonją. Jak wiadomo — „mikadko", to szklaneczka, w której lepsi pijacy piją czystą.

Mikadko jest synonimem „literatki", czyli „angielki". Nawiasem mówiąc, różnica między Polską a Anglją jest taka, że w Polsce każda „literatka" jest „angielką", a w Anglji nie każda Angielka jest literatką...

Japończycy żyją z uprawy ryżu i uprawiania potajemnego handlu opjum. Wogóle — ryż jest ulubionym przysmakiem Japończyków. Jako urodzeni dziwacy, jedzą go nie widelcem, lub łyżką, lecz pałeczkami, popijając wódką z ryżu, zwaną saki.

Język japoński jest bardzo trudny. Aby nauczyć się władać tym językiem, trzeba poświęcić własny, który trzeba połamać ze szczętem, nim się wypowie kilka słów po japońsku.

Niektórzy lingwiniści twierdzą, że japoński jest bardzo podobny do — lwowskiego. Znana jest historja o Lwowiakach, którzy spotkali się w Warszawie. Powitanie było niezwykle serdeczne:

— Ta Tońko! Ta ty tu?

— Ta ja tu. Taż tato też tu!

Słysząc to, przebiegający akurat łobuziak zawołał do przyjaciela:

— Te! Japońce przyjechali do Warszawy!...

W Japonji jest szczególnie pięknie, gdy kwitną wiśnie. To też podróżnicy nazywają Japonję „krajem kwitnącej wiśni". I tu znów nasuwa się pewne porównanie. Otóż różnica między Japonją a Polską jest taka, że Japonja jest krajem kwitnącej wiśni, a Polska — krajem kwitnącej wiśniówki...

Od czasu wspomnianej już wojny z Chinami, Japonję nazywają także niekiedy „krajem kwitnącej waśni"...

Pismo japońskie jest niezwykle trudne. Przeciętny Europejczyk nie wie nawet, czy należy czytać z góry na dół, czy z prawej do lewej. W każdym razie nawet po japońsku należy czytać także między wierszami — zwłaszcza, gdy się czyta artykuł o przyjaźni niemiecko-włosko-japońskiej...

Japończycy są uosobieniem spokoju i opanowania. Niestety — ziemia japońska jest strasznie nerwowa i często trzęsie się ni z tego, ni z owego. Bo Japonja, to kraj tysiąca wulkanów. Najsławniejszy z nich nazywa się Fudżijama, co znaczy po japońsku tyle, co „Wezuwjusz" po włosku.

Japonki noszą osobliwe imiona, jak naprzykład „Kwiat Wiśni", „Uśmiech Poranku" i t. p. Gdyby nasze panie nosiły takie imiona, byłoby to dość kłopotliwe, gdyż Polacy mają zwyczaj zdrabniać imiona lubianych osób. A jakżeby to zabawnie brzmiało, gdyby ktoś mówił do żony:

— Mój ty Kwiatuszku Wisienki!

Albo też:

— Mój ty Uśmieszku Poraneczku!

Japonki dzielą się na solidne panie domu, które trudnią się chodzeniem w ciasnem obuwiu, wachlowaniem się i wychowywaniem dzieci na dzielnych żołnierzy, oraz na gejsze. Gejsze zazwyczaj zakochują się w ofi-

Dokończenie na stronie 12-tej.

(*Dokończenie ze str. 11-tej*).

cerach angielskich, którzy je porzucają z arją na ustach.

Jeżeli już mowa o arji, to warto przytoczyć jedno słówko ze słownika japońskiego. Mianowicie „śpiewaczka" po japońsku znaczy: Teiko Kiwa.

Japończycy są znakomitymi tyczkarzami i żonglerami. Może właśnie dlatego tak wysoko zaszli i dlatego nie przystępują do osi, ponieważ mają wysubtelniony zmysł równowagi...

Godłem Japonji jest słońce. Nic też dziwnego, że najpopularniejszą dolegliwością Chińczyków jest — porażenie słoneczne...

Z powodu wspomnianych już częstych trzęsień ziemi, domy japońskie są budowane z lekkich materjałów. Ściany tych domów są cieńsze nawet, niż ściany w naszych nowoczesnych domach. Gdy Japończyk kichnie u siebie w mieszkaniu, wszyscy lokatorzy odpowiadają mu uprzejmie: „na zdrowie". Japończycy nie używają wysokich mebli. Siedzą na wygodnych matach — chociażby nawet nie mieli pojęcia o szachach. O przewrotnym Japończyku mówi się, że siedzi na dwóch matach i że podłożył bliźniemu matę. Mężczyzni i kobiety w Japonji noszą z upodobaniem barwne p a r a s o l e — i może właśnie dlatego twierdzą, że walczą o pokój...

CZWORONOŻNY JANOSIK ZBÓJNIK



Rodzina owczarków podhalańskich hodowli p. H. Górskiej.

Jak przed kilkudziesięciu laty został objawiony społeczeństwu przez Chałubińskiego czar tatrzańskiego folkloru, tak również nagle i niespodziewanie odkryto tę wspaniałą rasę psów, stanowiących odwieczny psi klan Podhala. Od wieków ta nasza rodzima psia szlachta chodaczkowa bowiem strzeże owiec na halach, szałasów i domostw, może nieco schłopiała i zagubiona w halnych zaściankach, ale pełna wrodzonej inteligencji i szlachetności, przy wręcz olbrzymich możliwościach rozwojowych.

Polski owczarek podhalański (tak brzmi pełny jego tytuł w księgach rodowodowych), do niedawna jeszcze „canis novus", ubogi krewny wspaniałej rodziny owczarków, nagle zabłysnął na rozmaitych polach, sięgając odrazu po palmę pierwszeństwa w wielu konkurencjach psiego współzawodnictwa. Obdarzony z jednej strony fotogeniczną bielą bujnego owłosienia, na której czernieją tylko ciemne oczy i „pointa" jego postaci — czarnośniący guzik nosa, stanowi piękny rekwizyt mody zdolny przy neutralności białego koloru harmonizować z każdym strojem eleganckiej pani, z drugiej zaś strony jest to zwierzę wyrosłe w ciężkiej i pierwotnej jeszcze walce o byt dzięki zachowanym do dziesiejszych czasów prymitywnym warunkom, jakby przedhistorycznego pasterskiego żywota. Ten dość rzadki zespół zalet, skupiony w tym zwierzęcym modelu natury, sprawia, że pies wykazuje doskonałe uzdolnienia i możliwości w obejmowaniu wszystkich rodzajów „psich służb", łącznie z najtrudniejszą służbą policyjną.

Szkoła policyjna jest psim uniwersytetem, wymagającym zarówno wysokiej psiej wiedzy oraz wybitnych zdolności, jak i nieprzeciętnych walorów fizycznych. Wszystko to jednak wniósł w swojem bogatem wianie danem mu przez naturę ten pies jakby żywcem wyjęty z mocarnych kart londonowskich powieści. A przy tem wszystkiem wniósł ten wszechstronny psi wielobojowiec naturę wierną i szczerą oraz niebylejaki psi rozum i umiejętność indywidualnego rozwiązywania różnych zagadnień na własną „rękę", nie odwołując się z każdą drobnostką do swojego przełożonego. Ten pies-baca, pies — dobry gospodarz sam się martwi o powierzone sobie stado, sam wie, kiedy należy je przepędzić ze spasionego miejsca na lepszą trawę, a w razie potrzeby karci rogate i nieposłuszne dusze, jakie mimo przysłowiowej łagodności znajdują się wśród owiec i tymi samymi wspaniałymi zębami potrafi zagryzać wilki napastujące bezbronne stado.



Owczarki z Podhala są najwierniejszymi towarzyszami baców.
Fotoryt — Zakopane.

To też wśród znawców psiego zagadnienia nie było to wcale sensacją, gdy wspaniały ten pies w jednym roku uzyskał najwyższe odznaczenia na konkursach sprawności policyjnej, a również na drugim „froncie" odniósł triumf, mianowicie na konkursie „Simu" pod hasłem „Pani i jej pies", gdzie udowodnił w asyście Pani z polskiego dworu p. Haliny Górskiej, przewodniczącej klubu hodowców polskiego owczarka, że jego aparycja wyznacza mu wysoką lokatę na pełnej najrozmaitszych gwiazd giełdzie psich piękności.

Jest jasnem, że pies, który równocześnie odniósł zwycięstwo na zawodach policyjnych i wygrał „drużynowy" konkurs piękności, był rzeczywiście „psem w poszukiwaniu autora". Nie szukał też długo: w powieści dla młodzieży „Pani służba" uwiecznił go znakomity Zygmunt Nowakowski i świetnem piórem skreślił podobną, choć w różnych wymiarach karjerę dwu- i czworonożnego górala. Wejście tej psiej sylwetki do literatury jest więc trzecim sukcesem w oszałamiającej karjerze naszego rodzimego psa, który jak żaden inny nadaje się do ochrony polskiej zagrody.

Opracowano oczywiście wzorzec tej rasy i stosujące się do jego wymagań okazy zaczęto wpisywać do nowozałożonych ksiąg rodowodowych, tak, że dzisiaj wiele najlepszych okazów tej rasy urodziło się już w kulturalnych hodowlach poza Podhalem i figuruje wśród najlepiej „urodzonych" rodów w psich almanachach, w których ich papierowo młode, ale odwieczne w rzeczywistości psie szlachectwo jest wysoko cenione, gdyż psy te łączą w jednej „osobie" zarówno walory zewnętrznej piękności i siły, jak wielkie zalety użytkowe.

Niema takich arkanów psiej wiedzy, którychby nie mógł posiąść taki pies — Janosik zbójnik, zdawałoby się gołębio poczciwy, gdy wesoło łasi się dziecku, ale rozżarty i jak lew zaciekły w obronie swego pana lub jego własności. Ta „rycerskość wieśniacza" i bujność natury oraz szeroka skala jego możliwości najpewniej rokują mu świetną przyszłość. To też koncern IKC od szeregu lat prowadzi propagandę za rozpowszechnieniem i odpowiednią selekcją tej rasy w ramach zrzeszonej i fachowej hodowli, a hasło: „w polskim domu — polski pies", rzucone pomiędzy Czytelników, odrazu się przyjęło na podatnym gruncie.

Przy dalszem tempie rozwojowem przyjdzie zapewne czas, gdy na straży polskich domostw będzie stało wszędzie czujne serce naszego rodzimego psa-autochtona, który stanie się motywem polskiego dworu i polskiej zagrody wieśniaczej, jak bocian na strzesze i dziewczęce malwy w ogródku. Polski owczarek podhalański stanie się nieodrodną częścią naszego narodowego folkloru.

Dr Mieczysław Cena.



PRZED METĄ

Fot. New York Times.

WIESŁAW GORECKI

Sofokles



NA POLSKIEJ WSI

Przed neoklasycznym pałacem w Pławowicach zasiedli przybyli z Krakowa goście i ludność wiejska, w oczekiwaniu przedstawienia. Zapewne nastąpi jakiś pokaz regionalny, może odegrana zostanie jedna z nielicznych komedyjek czy krotochwil, przeznaczonych dla teatrów amatorskich.

Nagle — obstupuerunt omnes. Na tle pałacowych kolumn ukazują się dwie dziewczęce postacie, w barwnych peplos, ze złocistymi przepaskami na włosach. Pierwsza z nich odzywa się:

„O ukochana siostro ma Ismeno“...

Przecieramy oczy. To chyba jakieś przywidzenie. Nie dowierzamy uszom. To musi być halucynacja. A tymczasem prologos sofoklesowej „Antygony“ wypowiadany jest gładko i ze zrozumieniem przez parę dziewcząt, stojących niemal jak posągi, a oddających jedynie głosem burzę, wzrastającą w ich sercach.

Antygona i Ismena odchodzą. Zjawiają się cztery dziewczyny w powłóczystych



Chór z parodosu „Antygony“ Sofoklesa.



Antygona zstępująca do grobowca.



Dialog między Kreonem i Hajmonem z III epeisodionu „Antygony“.

szatach, które zająwszy prawą stronę sceny pod gołym niebem, recytują chóralnie:

„Błysnąłeś wreszcie z chmur słońca promieniu poranny,
Dnia oko ukąpane w Dyrki świeżym zdroju“.

Głosy dziewcząt brzmią czysto i świeżo. Cóż to za intonacja i jaka składność we wygłaszaniu. Czwórgłos potężnieje, rośnie, wreszcie przygasa. Kończy się parodos, na słowach, zapowiadających ukazanie się syna Menejkosowego. Następuje pierwszy epeisodion. Wkracza Kreon, odzywając się silnym, niskim, iście męskim głosem:

„Obywatele. Więc wreszcie bogowie
Uratowali państwo od pomoru
Wewnętrznych wstrząśnień i od gróźb wojennych“...

Próżno, chcąc się zreflektować, uprzytamniamy sobie, że to tylko dziewczyna, w męskich szatach. Że to tylko przedstawienie, wykonane amatorskimi siłami. Władczy głos Kreona, jego dumna postawa, jego wewnętrzne przekonanie, z jakim ciska mocarne słowa, wciągają nas w krąg iluzji. Z królewskich ust pada nieubłagany wyrok, wobec którego korzy się chór. Prawda... Przecież to powinien być chór tebańskich starców, a mamy przed sobą młodociane postacie niewieście. I takie spostrzeżenie nie zdoła nam zamącić wrażenia. Słowa Sofoklesa, tak sugestywnie zaklęte w polszczyznę przez Morstina, działają nieodparcie, roztaczają przejmujący czar i budzą niesamowity nastrój.

Po dialogu Kreona i Strażnika, następuje pierwszy stasimon. Ile w jego przekładzie mieści się piękna i znawstwa antyku, ten pojmie, kto porównywał cytowany przekład Morstina z kilkoma poprzednimi, a zatem: Węclewskiego, Kaszewskiego, Morawskiego. Wszyscy wymienieni tłómacze wykazali spory zasób erudycji, szlachetne zamiary, pietyzm wobec słów tragedji, ale dopiero Morstin, sam poeta z najprawdziwszego zdarzenia, umiał przetransponować ogrom poezji Sofoklesa na nasz język. O tym jednak czas rozmyślać później, bowiem wypadki, toczące się na scenie, przykuwają niezmiennie uwagę widzów i słuchaczy. Oto drugi epeisodion, z relacją strażnika i wyznaniem Antygony. Nastrój dramatyczny wzrasta niepowstrzymanie. Kreon jakby przygotowywał się do skoku. Antygona, z szeroko rozwartymi oczyma, żąda spełnienia na niej wyroku śmierci. Padają krótkie wyrazy, napęczniałe wściekłością i siłą. Jakgdyby migocące w słońcu ostrza szpad, krzyżują się i łyskają.

Na widowni śmiertelna cisza. Ten słowny pojedynek wywiera przytłaczające wrażenie, stokroć silniejsze niż ukazanie rzeczywistego starcia. Pewnego rodzaju wytchnieniem jest drugi stasimon, poczem odbywa się jedna z najdramatyczniejszych scen tragedji: rozmowa ojca ze synem, Kreona z Hajmonem.

Młody chłopak wpada, jak wicher. Zatrzymuje się na stopniach, nieruchomieje i tylko błyszczącymi oczyma przeszywa

twarz ojca. Przyszedł, aby walczyć o ukochaną. Stawką w tej rozgrywce jest życie ludzkie. W pewnej chwili odrywam oczy od sceny i dostrzegam wokoło stężałe twarze. Nikt nie śmie się odezwać, zaczerpnąć głośno tchu. Wszyscy oczarowani, zaklęci magją słów, słuchają, pełni skupienia. Kiedy padają słowa Kreona:

„Tam, gdzie przez ludzi opuszczona ścieżka,
Zamknę ją, w jamie skalnej niech zamieszka".

odzywają się westchnienia, współczujące losowi Antygony. Może podobnie reagowano na słowa poety przed 2500 laty, u południowego podnóża Akropolu, w Atenach. Szybko przebiega trzeci stasimon i przybliża się punkt kulminacyjny tragedji: Czwarty epeisodion. Antygona żegna się z życiem. Na Zeusa... Przecie ta dziewczyna ma najprawdziwsze łzy w oczach. Ręce, skrzyżowane na piersiach, jakoby spętane okrutnie powrozem, mają wyraz dziwnej, urzekającej bezbronności. Głowa dziewczęcia zwraca się ku słońcu, żegnając jego promienne blaski. Równocześnie w sercu Antygony, w królewskim istotnie sercu, odzywa się chwilowy bunt:

„Jakież to bogów złamałam ustawy,
Zaprawdę, można przestać wierzyć bogom,
Jeśli za podły uznają czyn prawy".

A jednak nie ugnie się przed tyranem królewska dzieweczka i przepojona szczytną rezygnacją, bez szemrania zdąża na śmierć.

Przelatują: czwarty stasimon, piąty epeisodion. Nadchodzi exodos, w którym zawarta jest rozpacz Eurydyki, poczem następuje relacja zwiastuna. Teraz nieubłagany despota, Kreon, dotknięty tyloma ciosami, załamuje się i chyli głowę pod nawałem nieszczęść. Odchodzi błędnym krokiem, a ścigają go słowa chóru:

„Klęski nawet w późnym wieku
Nauczą ciebie rozumu,
Człowieku".

„Antygona" skończona. Ale dłuższą chwilę pozostajemy pod niezgłębionym urokiem tragedji, tak wyśmienicie interpretowanej przez proste, wiejskie dziewczęta. Dopiero po dłuższej chwili otaczamy gospodarza, będącego tłomaczem, inscenizatorem, reżyserem i organizatorem widowiska. Jakże to doszło do podobnego wyczynu?

— Przy pomocy mojej żony, która zajmuje się „Chrześcijańskim Kołem Młodzieży Żeńskiej", doprowadziliśmy to przedstawienie do skutku. Oczywiście poczyniłem w tekście pewne skróty, jak państwo mogliście zauważyć, niezbyt znaczne. Również,



Ludwik Hieronim hr Morstin, autor przekładu „Antygony", inscenizator, reżyser i organizator pławowickiego widowiska.

mając tak młodociany zespół wykonawczyń, nie wprowadziłem chóru starców, lecz zastąpiłem go chórem dziewcząt. Stąd w miejscach, gdzie była mowa o starości, trzeba ją było zastąpić słowem: młodość. Np. zdanie: „Jeśli nam starość nie mąci rozwagi", musiało u nas brzmieć: „Jeśli nam młodość nie mąci rozwagi". A to — uśmiecha się Morstin — odnieść można i do wcześniejszego i do późniejszego wieku. Próby... No cóż... Było ich wszystkich może osiem.

— Jakto — odzywa się ktoś. Chyba samo pamięciowe opanowanie tekstu wymagało tylu prób, bo nie zauważyliśmy suflera...

— Suflera istotnie nie mieliśmy — zaznacza gospodarz. — Kiedy jednak mowa o nauczeniu się ról, to dziewczęta, w dwadzieścia cztery godzin po otrzymaniu ich, nauczyły się tekstu bezbłędnie. Na czem polegała prawdziwa trudność, to na wprowadzeniu niezbędnego umiaru. Pomyślcie moi państwo, do jakiego stopnia młody, niedoświadczony, a pełen temperamentu zespół amatorski radby szarżować w głosie i geście. Musieliśmy powiedzieć naszym wykonawczyniom: macie stać jak posągi, jak figury. Nie krzyczeć. Nie wydzierać się. A nie mówić przytem jednostajnie, nie nudzić. Aż gdy zdobyły pewną ekspresję słowną, wtedy można było obmyślać oszczędne, nieprzejaskrawione ruchy, a w końcu przejść do interpretacji trudnego wiersza.

Morstin gawędzi skromnie, z ogniem równocześnie, a słuchających ogarnia bez-



Wykonawczynie „Antygony", w pośrodku L. H. Morstin.
Zdjęcia: Ludwikowa hr Morstinowa i Magazyn „As".



Na lewo: Pałac w Pławowicach L. H. Morstina od strony parku (na tle widocznej kolumnady odbyło się przedstawienie „Antygony").

brzeżne zdumienie. Więc najprostszą drogą, tragedja Sofoklesa, bez żadnej subwencji, bez niczyjego poparcia została zrealizowana na wsi i dla wsi...

Uważają nas zagranicą za zacofanych na niejednym polu m. i. na teatralnym. Zagadnijmy Francuza, Anglika, Włocha, czy w ich krajach odgrywane są obecnie utwory antyczne, z takim wyczuciem, z taką podświadomą kulturą... I jakiż stąd dla nas wynika morał? Że wieś zasadniczo nie powinna ograniczać się do pokazów swej sztuki rodzimej. Dalecy od niedoceniania regjonalizmu, musimy jednak dostrzec dążenia ludu, dalej sięgające i nie wolno nam przejść nad tem do porządku dziennego. W ludzie naszym tkwi tęsknota za pięknem, wypowiedzianym prosto i szcze-

Dokończenie na str. 18-ej.

PIĘĆ RAZY „MISS POLONIA"



Powyżej: **Aniela Bogucka** „Miss Polonia" 1927 (Kraków).



Na lewo: **Marja Żabkiewiczówna**, „Miss Polonia" 1934 (Paryż).





Powyżej: **Władysława Kostakówna**, „Miss Polonia" 1929 (Warszawa).



Na prawo: **Zofja Batycka**, „Miss Polonia" 1930 (W-wa)



Był czas, gdy Europa, idąc za przykładem Ameryki, emocjonowała się wyborami „królowej piękności". Wszystkie bez wyjątku kraje urządzały wówczas konkursy piękności, w których laureatki otrzymywały tytuł „miss" z dodaniem nazwy kraju. Była więc: miss Francja, miss Anglja, miss Niemcy itd. — musiała więc być i miss Polska. Wszystkie te królowe zjeżdżały się potem w jakiejś modnej miejscowości kąpielowej, gdzie następował wybór miss Europy. Ta zkolei walczyła o tytuł „miss Universum", czyli królowej piękności wszystkich narodów. Wybór „miss Universum" odbywał się zawsze w Stanach Zjednoczonych, które zarezerwowały tę lukratywną imprezę dla siebie.

Ale i organizatorzy konkursów piękności w poszczególnych krajach zarabiali na wyborach „misek" pokaźne sumki. Oparte na komercjalnych podstawach imprezy te pozostawiały wiele do życzenia pod względem etycznym. Zaczęły dziać się najrozmaitsze nadużycia, które w niejednym wypadku przerodziły się w głośne skandale. Szereg organizacyj społecznych zainicjował intensywną kampanję przeciw konkursom piękności, co wkońcu doprowadziło do tego, że żadna przyzwoita kobieta nie chciała w nich brać udziału. Nie pomogły różne tricki managerów. Publiczność, zrażona skandalami, rozpoczęła bojkot konkursów. W ten sposób wybory królowych piękności przestały być wydarzeniem, o którem mówiła Europa.

Tylko jeszcze Stany Zjednoczone zachowały po dziś dzień kult dla tej imprezy, choć dziś nie odbywającej się więcej konkurencji międzynarodowej. U nas w latach największego nasilenia zainteresowania ogółu konkursami piękności przeprowadzono parokrotnie wybór „miss Polonji" Były nią kolejno: Aniela Bogucka, która została też obwołana w konkursie „Fanametu" europejską „Królową Kina", Władysława Kostakówna i Zofja Batycka. W okresie późniejszym, gdy w Polsce zrezygnowano z konkursów piękności, a organizatorzy wyboru „miss Europy" dla względów prestiżowych pragnęli, by w nim wzięła udział i przedstawicielka Polski, wysłano do Paryża Marję Żabkiewiczównę, która tam wówczas (1934) uzyskała jako ostatnia tytuł „miss Polonji".



Jadwiga Bieńko, amerykańska „Miss Polonia" 1939.

* * *

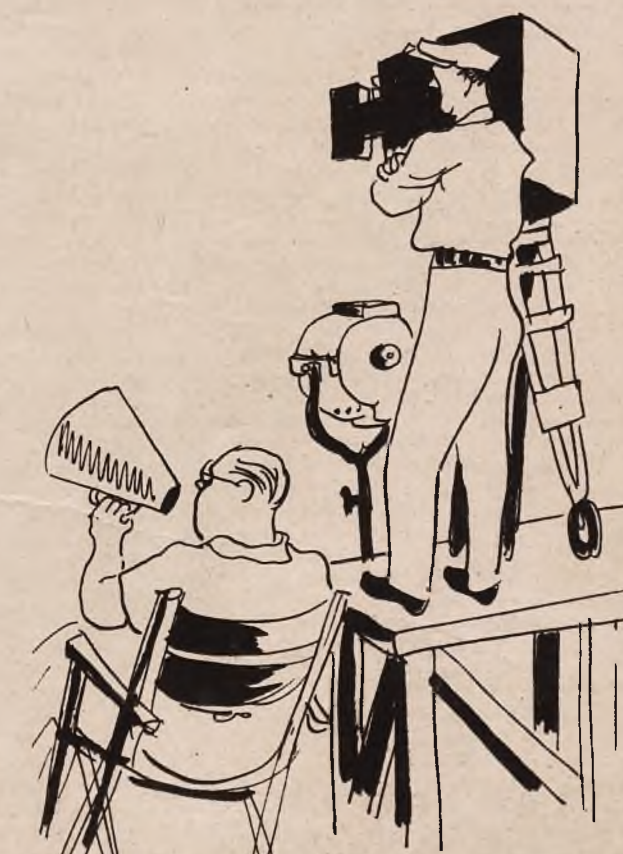
Polonia amerykańska wybiera sobie co roku swoją „miss Polonię". Tym razem jednak po raz pierwszy wyznaczono tam przepiękną nagrodę dla zwycięskiej piękności: podróż „Batorym" i trzytygodniowy pobyt w Polsce. Laureatka przybyła ostatnio do Warszawy; mieliśmy możność porozmawiania z nią.

Nazywa się Jadwiga Bieńko, ma 19 lat, śliczne loki ciemno-blond, niebiesko-zielonkawe oczy, zgrabną figurkę i mówi po polsku z akcentem amerykańskim. Na pytanie, gdzie mieszka w Ameryce i gdzie się tam urodziła odpowiada:

— Pittsburgh Pa.

Pa to skrót stanu Pennsylvanja, którego stolicą jest miasto Pittsburgh, posiadające liczną kolonję polską. Zasypałem ją pyta-

Dokończenie na str. 18-tej.



Dokończenie ze str. 7-ej.

Opowiadał nam z dumą, że nawet Papież interesuje się jego pracą. Jego hodowlę można właściwie nazwać „fabryką' myszy, gdyż w tej chwili „produkuje" około 1.200 sztuk miesięcznie, a trzebaby żeby doszedł wkrótce do sześciu tysięcy miesięcznie.

Wczoraj wieczorem byliśmy na statku „Pułaski", który tu zajechał po drodze z Ameryki Południowej do Gdyni. Poznaliśmy kapitana Pancewicza, bardzo czarującego człowieka, który nas przyjął świetną polską wódką i „kanapkami".

Dakar

VI.

Po szczepieniu przeciw żółtej febrze reakcja u nas polegała na tem, że byliśmy osłabieni i trochę nas „łamało". Ja przechodziłam to dość lekko, ale mój mąż niestety bardzo się uskarżał na ból nerek i złe samopoczucie. Przykrość ta należy jednak już do przeszłości.

Wkrótce wysłać chcę kilka próbek (niestety „bez wartości") moich fotografij. Dla osiągnięcia rezultatów upragnionych, sprzysięgły się niestety przeciw mnie w tej dziedzinie zarówno rzeczy martwe, jak i żywe, wyjątkową okazując złośliwość. Mój mąż twierdzi coprawda, że jest znacznie lepiej, niż się tego spodziewał, ale dowodzi to tylko niskiego poziomu jego przewidywań, oraz doskonałości filmów panchromatycznych, przywiezionych przez nas z Europy, a których niestety w Dakarze nie można dostać.

Wkrótce już wyruszamy w dalszą wędrówkę, a mianowicie w środę na bardzo przyjemnym statku holenderskim „Arstelkerk". Cieszymy się głównie na dwie rzeczy: ciszę na oceanie, bo już gwałtowna hałaśliwość tego miasta dokuczyła nam niepomiernie i „przetrąciła" lekko nasz system nerwowy, a poza tem — na zmianę kuchni. Już wstręt czuję do instytucyj, zwanych hotelem, do przedmiotów, zwanych walizkami, do stołów, zwanych restauracyjnemi. Mimo to przyznaję, że tu w Dakarze mieszka się doskonale i jada nieźle — ale drogo. Na „Amstelkerk" będziemy mogli wybrać sobie najlepszą, jaką nam się spodoba, kabinę, bo agent towarzystwa mówił, że statek pustawy. Sądzę, że czeka nas przyjemna bardzo podróż w najlepszych warunkach. Statek zatrzymuje się w Freetown (Sierra Leone), w Monrowii i w Takoradi (Gold Coast), gdzie być może nawet wysiądziemy, bo to dosyć blisko Accra, ale tylko w tym wypadku, jeżeli tam zastaniemy przyjaciela mego męża, Mr. Davies'a.

s. s. Amstelkerk.

VII.

Czarowną odbywamy podróż na tym przemiłym statku, i tu dopiero odnoszę rzeczywiście wrażenie, że jestem na morzu, bo na „s. s. Baufor", którym jechaliśmy z Marsylji do Dakaru, mogło się raczej wydawać, że mieszka się w dużym hotelu, położonym nad brzegiem morza, a przytem publiczność była tam jakaś straszliwie nudna i jakby przygaszona. Na „s. s. Amstelkerk" pasażerów jest tylko kilkunastu, wszyscy zatem się znają, miły jest nastrój i sam statek taki przyjemny. Największym jednak czarem tego statku — to przemili jego oficerowie, weseli i zabawni. Dbają oni nie tylko o to, aby pasażerowie byli bezpieczni, ale również o to, żeby im się dobrze i wesoło żyło na statku. Dwa dni temu był „obiad kapitański", a potem wielki bal; tańczyliśmy i dokazywaliśmy do upadłego.

Dokończenie ze str. 15-ej.

rze a przytem nie po linji najmniejszego oporu. Fakt odegrania „Antygony" na wsi polskiej przez ludność wiejską, powinien skierować działalność ludową na nowe, inne tory. Jeżeli nasz lud, niechby bezwiednie, reaguje na piękno antyku, też spektakli, w rodzaju omawianego, powinno stać się żelaznym repertuarem dla wsi polskiej.

Rozmyślając nad niezapomnianem przedstawieniem, dochodzimy do przekonania, że nawet nieuniknione usterki w przedstawieniu, nietylko nie raziły, ale miały swój swoisty wdzięk. Zespół grających dziewcząt (nie miał rzecz prosta najmniejszej rutyny. Zdarzyło się, że jednej z wykonawczyń brakło oddechu w środku wiersza. Wtedy powtórzyła najspokojniej całe zdanie. I nie było to żadnym dysonansem. Podkreślić należy, że zespół ten składał się z rozgarniętych, inteligentnych istot, ale takie znajdziemy u nas, przy pewnej selekcji, pod każdym kątem szerokości i długości geograficznej.

Do późnej nocy dyskutowano nad prześlicznem przedstawieniem i nad wyłaniającemi się stąd możliwościami. Następnego dnia, kiedy trzeba było poprosić pokojówkę o ciepłą wodę do golenia, rozpoznało się w osobie tejże pokojówki matkę królewską, Eurydykę. Wtedy ogarniało człowieka jakieś onieśmielenie i goliło się zimną, przygotowaną w pokojach wodą. A potem, kiedy zmierzało się wzdłuż olbrzymich pławowickich stawów, dostrzegło się w oddali konie, wiedzione do wodopoju. Na jednym z nich siedziała na oklep jakaś dziewczyna, pokrzykując co chwilę. Jakiś dziwnie znajomy, potężny głos. Morstin uśmiechnął się lekko i wyjaśnił:

— To wczorajszy Kreon.

Dokończenie ze str. 17-ej.

niami co do personalji, na które tak mi odpowiedziała czarująca panna Jadzia:

— Mój tatuś jest maszynistą.

— Na kolei?

— Nie. W piekarni.

Tu muszę wyjaśnić Czytelnikom, że w Ameryce piekarnie są wyłącznie mechaniczne i dlatego tamtejszy piekarz niekoniecznie musi być cały umączony.

— Czy ma rodzeństwo?

— Owszem, dwie siostry i dwóch braci, młodszych i starszych od siebie.

— Gdzie i czego się uczyła?

— Skończyłam „hajskul" — pada tajemnicze słowo.

Tu znów muszę wytłumaczyć, że „hajskul" pisze się „high school", co znaczy „wyższa szkoła", która jest tam tem, co u nas gimnazjum, ale bez klas licealnych. Panna Jadzia ukończyła jeszcze kursy handlowe i buchalteryjne.

— Czy wobec tego zamierza pani zostać biuralistką? — zapytuję.

Spotykam się z pogardliwem zaprzeczeniem. P. Jadzia nic mi. coprawda, nie mówi, ale wyraz jej cudnych oczu gromi mnie i zda się mówić: Co też pan sobie wyobraża? Ja, miss Polonia, wybrana z setek kandydatek, uznana za najpiękniejszą Polkę Ameryki, będę sobie zwykłą biuralistką? Też mi karjera!

Rezygnuję więc jak najszybciej z mych naiwnych przypuszczeń i zapytuję:

— Woli pani zapewne zostać... wielką gwiazdą filmową?

— No, oczywiście...

Oczęta błysnęły radośnie, a malinowe usteczka szepczą:

— O, gdyby to tylko się udało i było możliwe...

— Ma pani zamiłowanie do filmu? Próbowała pani swych sił w grze aktorskiej?

— Nawet bardzo często podczas przedstawień amatorskich w szkole.

— A możeby pani wystarczyło poprostu... wyjść zamąż... bogato

— Oh, yes... — wyrwało się angielskie westchnienie.

— Przepraszam, a jak tam z pani polszczyzną?

— W domu mówimy po polsku, ale z koleżankami mówię od dzieciństwa po angielsku, więc sam pan rozumie, że mi łatwiej wysławiać się w tym języku.

— A czy rodzice pani przybyli z Polski, czy też jeszcze dziadkowie?

— Rodzice. Przed trzydziestu laty.

— A skąd?

Zadałem kłopotliwe pytanie. Nie wie, biedactwo. Sędzia mówi w takich razach: „Uchylam to pytanie", a dyplomata: „Nie umiałbym panu na to dać odpowiedzi". Panna Jadzia nie jest ani sędzią ani dyplomatką. Więc tylko rozpaczliwie spoglada na mnie „premjowanemi" oczętami. Nie chcę jej sprawiać przykrości, więc szybko przeskakuję na inny temat. Jak to było z wyborem?

O, to jest temat dla panny Jadwisi! Premjowane usteczka mówią:

— Był „kontest" (anglicyzm, ale my też nie mamy na to prawdziwie polskiego słowa i mówimy „konkurs"), ogłoszony przez jeden z dzienników polskich w Ameryce. Posyłało się fotografje. Potem wybrano po trzy najpiękniejsze Polki z każdego stanu. Było ich razem ze sto pięćdziesiąt. Wszystkie zjechałyśmy się w Buffalo i tam dwukrotnie defilowałyśmy przed 9 sędziami i wielotysięczną publicznością.

— Dlaczego dwukrotnie?

— Bo raz w toaletach wieczorowych, a drugi raz w kostjumach... kąpielowych... — mówi premjowana piękność z wyraźnem zażenowaniem, a na twarzyczce wykwita rozkoszny rumieniec wstydu.

— Czy była pani szczęśliwa, że właśnie na panią padł wybór?

Znów pytanie wprawia w ambaras moją rozmówczynię, a wyraz twarzy staje się surowszy. Panna Jadzia jest znać najgłębiej przekonana, że inaczej wogóle być nie mogło...

Więc znów przeskakuję na łatwiejsze tematy:

— Jak się pani podoba „stary kraj"?

— Bardzo... bardzo...

— A co pani widziała?

Recytuje:

— Stare Miasto, Belweder, Łazienki, Wilanów...

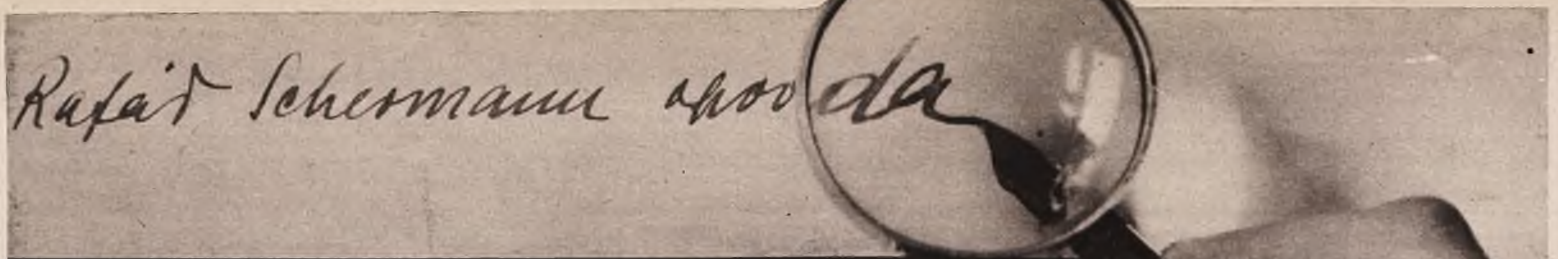
— A co pani jeszcze zamierza zobaczyć?

— Kraków, Lwów, Zakopane, Krynicę...

— Więc szczęśliwej podróży...

Kiwnęła mi premjowaną rączką na pożegnanie...

H.



Z TEKI PSYCHOGRAFOLOGA

AUTORYZOWANE TŁUMACZENIE JANA MALESZEWSKIEGO



Podczas tej sceny postać Schermanna stawała się coraz bardziej niepokojąca i tajemnicza.

Pobyt w Ameryce zapłacił jednak Schermann dosyć drogo, gdyż niezwykle prędkie tempo życia, udzielanie rad olbrzymiej ilości klientów i ciągłe wywiady podkopały poważnie jego zdrowie. Człowiek, którego konstytucja przypomina niezwykle precyzyjny aparat, musiał pracować jak machina parowa, nic też dziwnego, że po trzech miesiącach wrócił niezwykle wycieńczony do Europy.

* * *

Bawiąc w Czerniowcach wydarzył mi się ciekawy wypadek, o którym chciałbym powiedzieć kilka słów. Miasto to zamieszkuje wielu niemieckich żydów, to też gdy skończyłem pewnego razu mój odczyt, zostałem zaproszony do prezesa gminy izraelickiej. Spotkałem tam również dwóch rabinów, — którzy chcieli przedłożyć mi kilka niezwykle trudnych próbek pisma, stawiając mnie w ten sposób na poważną próbę. Nie będę się tutaj rozwodził nad całym seansem, lecz przytoczę protokół, spisany przez znanego publicystę i redaktora dr Arnolda Schwarza.

„O północy znaleźli się w salonie prezesa gminy izraelickiej dr Gutherza dwaj rabini dr Mark i Benzon Katz oraz Rafał Schermann, dyskutując na temat mistyki, filozofji, talmudu i kabały. Był to obraz o tyle ciekawy, że nastrój, panujący w salonie, był niezwykle poważny i wobec poruszanych tematów niezwykle tajemniczy. Poznajmy uczestników tego posiedzenia: dr Mark, to rabin o nowoczesnym światopoglądzie, rozumiejący współczesne życie i konieczność reform również na tle zagadnień religijnych, człowiek o bardzo szerokich horyzontach; Benzon Katz natomiast reprezentuje ortodoksyjny kierunek, jest jednak również, jak się okaże z dyskusji, wybitnym uczonym, znającym poza „żelaznym kapitałem" wiary żydowskiej w postaci świętych ksiąg również nowoczesną naukę i posiadający gruntownie kilka języków. O trzeciej osobie, biorącej udział w tem posiedzeniu — Schermannie, nie będziemy mówić dłużej, gdyż poznaliśmy go już uprzednio.

I tak zgromadzeni przy okrągłym stole o północy goście dr Gutherza snują ciekawe refleksje na najbardziej emocjonujące tematy. Każdy świadek tej sceny napewno zachował wspomnienie o niej na całe życie.

Chodziło wtedy o „próbę generalną". Nie wiem czy przygotował ją rabin Katz, czy też porozumiał się co do tego z dr Markiem. Więcej jak pewnem jest jednak, że wiele godzin przedtem obmyślił Katz kilka niezawodnych pułapek, w które miał wpaść Schermann podczas tej rozmowy. Widać było z oczu rabina, rzucających ciekawe błyski, że czeka niecierpliwie na „próbę sił".

Rabin Katz, wyjmuje z portfelu jakiś stary dokument. Jak się później dowiaduję, list ten, napisany został 163 lat temu ręką sławnego rabina. Papier jest pożółkły, zapisany hebrajskimi znakami. Po chwili wyjmuje drugi papier również pisany po hebrajsku, ale pochodzący ze znacznie późniejszego czasu. Te dwa oto skrypty przedkłada rabin Katz Schermannowi.

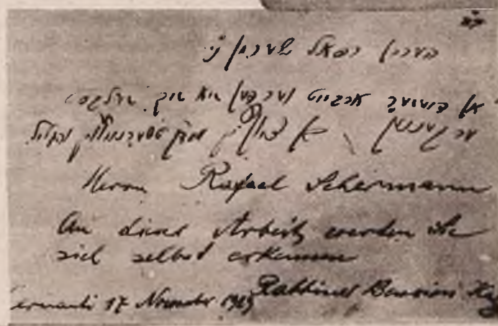
Wyczuwa się z wyrazu twarzy uczonego rabina, że zastawił na Schermanna sidła i że rozwiązanie zagadki tego pisma uważa za niemożliwe. Chciał on oczywiście pognębić człowieka, o którym mówiono, że posiada nadprzyrodzone zdolności i wykazać, że Schermann posługuje się jedynie nauką, nie mającą nic wspólnego z iskrą Bożą, jak zwolennicy Schermanna nazywają jego właściwości psychografologiczne.

Seans się zaczyna: rabin Katz spogląda ostro na Schermanna, badając każdy jego ruch. Dr Mark zdaje się solidaryzować z Katzem. Oczywiście z chwili na chwilę wzmaga się napięcie tem więcej, że jesteśmy niezwykle ciekawi, jak Schermann zdoła się wyrwać z tej matni.

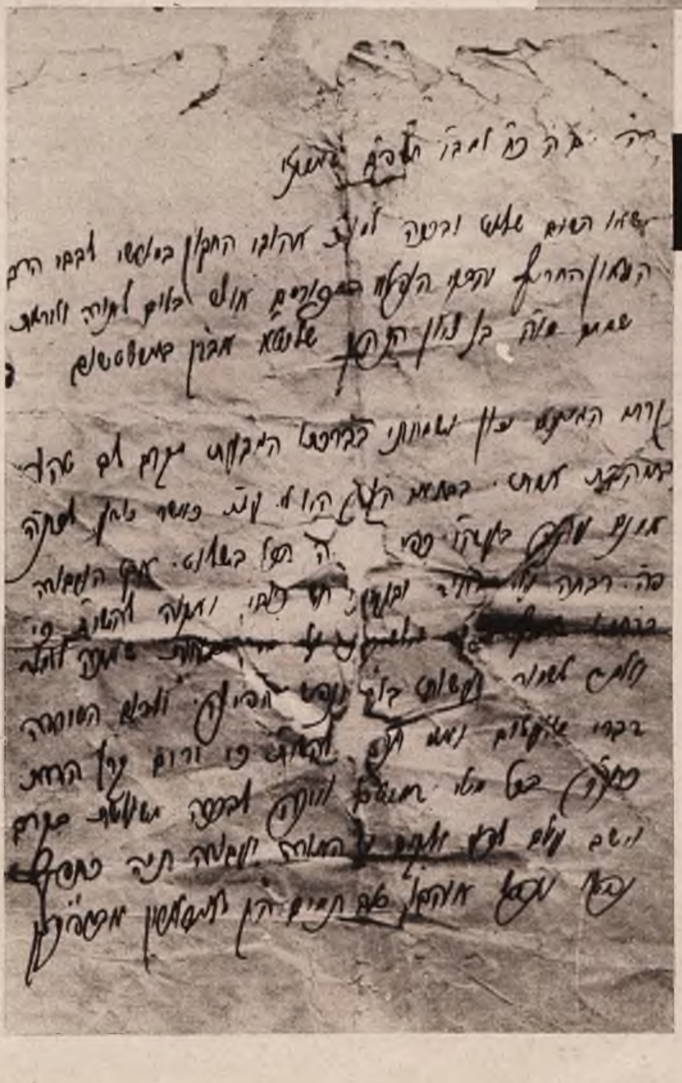
Wkońcu zaczyna Schermann mówić:

— List, który leży przedemną został napisany przez człowieka, gdy był jeszcze młody, bardzo młody. Był to nieomal genjusz: sposób myślenia niezwykle precyzyjny, horyzonty bardzo szerokie, ogromna logika w myśleniu. Również jako naukowiec był wybitnym człowiekiem i niewielu takich można spotkać. Gdyby był mógł rozwinąć się odpowiednio, byłby się stał największym genjuszem swego wieku, ale niestety, nie pozwolono mu się rozwinąć. Najbardziej cierpiał z powodu walki ze samym sobą: wprawdzie podzielał nowe poglądy i szedł po linji nowych prądów, a mimo to, jakaś wewnętrzna siła pociągała go do starej wiary. Również był niezadowolony ze swej budowy ciała. Autor tego listu był wielkim mowcą, to też mowy jego działały na ludzi fascynująco. Przeszedł on przez wiele przykrych chwil, przeżywał całe miesiące, kiedy nie miał co jeść, a to co mu dawano rozdzielał między innych. Był to człowiek o dobrem sercu. Gdyby odpowiednio pokierowano jego życiem, byłby został wielkim fizykiem, a gdyby warunki pozwoliły mu malować, byłby zyskał takie nazwisko, jak Michał Anioł. Gdy dysputował starał się najprzód wybadać przeciwnika, gdy wpadał w ekstazę mówił, jak człowiek natchniony i wtedy żaden król czy cesarz nie byłby go przekonał. Niestety zdrowie nigdy mu nie dopisywało, to też ten człowiek o silnym duchu niezwykle cierpiał z powodu słabości swego ciała.

Scherman mówi zwięźle, spokojnie, ale widać po zmarszczonem czole, po wyra-



Powyżej: Autograf pisany po hebrajsku i alfabetem łacińskim ręką rabina Katza, biorącego udział w seansie psychografologicznym z Schermanem.



Na lewo: Oto list sławnego rabina Meyera Arak, który należał do najwybitniejszych talmudystów swego czasu.

zie twarzy, że natęża wszystkie siły, aby sprostać ciężkiemu zadaniu, które mu postawiono. Przyglądający się tej scenie rabini popadają poprostu w zdumienie. Widzą, że Schermann opanowuje w pełni sytuację i daje sobie radę z tem ciężkiem zadaniem. Usta rabina Katza uśmiechają się: nie jest to uśmiech zwycięzcy, lecz uśmiech człowieka, który z zadowoleniem stwierdza, że udało się komuś wielkie dzieło, co może być tylko dziełem Bożem. Dlaczegożby nie miał w to wierzyć rabin Katz? Schermann jest człowiekiem, który urodził się zapóźno, albo zawcześnie. Następnie przystępuje Schermann do analizy drugiego pisma i mówi:

— Człowiek, który pisał ten list, był niezwykle słabego zdrowia, to też otaczano go stałą opieką, która nie na wiele się przydała. Człowiek ten znajdował się zawsze w ponurym nastroju i nigdy nie był zadowolony z otoczenia. Twarz jego była pokryta zmarszczkami. Był on wielkim myślicielem, ale nie zawsze udawało mu się skoncentrować myśli, jak tego sobie życzył. Podczas gdy autor poprzednio oglądanego listu żył, jakby się znajdował na pustyni, ten drugi zachowywał się, jakby mieszkał w dużem mieście. Podczas dyskusji był niezwykle niecierpliwy, odpowiedzi jego były lapidarne, a gdy wpadał w zapał, ciało jego drgało. Drgawki te występowały u niego już w 18 roku życia. Twarz jego była bardzo wąska, a uderzały w niej oczy przypominające orła.

— Wspaniale, panie Schermann! — przerywa mu rabin Katz. W tem dziele, którego pan teraz dokonał pozna pan siebie samego. Sztuka pańska, dla której nie mam dosyć słów pochwały, jest wielka.

Stoimy w kole naokoło Schermanna i rabina Katza, który daje teraz wyjaśnienia, odnoszące się do pism przedłożonych Schermannowi.

— List, który pan przed chwilą czytał, został napisany przez rabina Mojżesza Hersza Hellera. Był rabinem w Bukaczowcach i umarł 163 lata temu, w wieku 39 lat. Pozostawił on olbrzymie dzieło filozoficzne, zajmujące się talmudem, omawiające prace Majmonidesa i innych autorów i naprawdę trzeba się niepomiernie dziwić, że człowiek w tak młodym stosunkowo wieku zdołał pozostawić tak poważną i wielką pracę. Dopiero w 70 lat po jego śmierci ukazało się jego pierwsze dzieło, będące traktatem o prawie filozoficznem, ułożonem według Ben Achoszew Aroch Hamiszpot. O pierwszem tem dziele Hellera napisał sławny rabin z Brodów Salomon Kluger ciekawą krytykę. Drugą rozprawę na temat tej pracy napisałem ja w r. 1913. Nie tylko dzisiejsi ludzie uważają Hellera za genjusza, ale również współcześni mu przepełnieni byli uznaniem dla tego niezwykłego człowieka. O zdolnościach Hellera świadczy to, co powiedział rabin stanisławowski, Lejbisz Horowitz, a mianowicie, że pozostawił przeszło tysiąc uczniów, ale żaden z nich nie mógł sprostać w wykształceniu Hellerowi. Jak się okazuje, to, co Schermann nazwał wewnętrzną walką, odnosić się może do okoliczności, że Heller nie mógł pogodzić talmudu z kierunkiem kabalistycznym. Chęć uzgodnienia różnych momentów nauki i religji musiała powodować u uczonego niejedną walkę i przysparzać mu niejedną ciężką chwilę. To, co pan powiedział o jego chorowitości, zgadza się w pełni, gdyż Heller co roku wyjeżdżał do wód.

Rabin Katz przerywa swoje wywody i zanim powie coś o drugim liściе, spogląda na Schermanna w zadumie. Nie chce jeszcze wierzyć w to, co usłyszał, ale fakty mówią dosyć dobitnie, aby nie było wątpliwości, co do prawdziwości wydarzenia.

— Rabin Meyer Arak mieszkał poprzednio w Jazłowcu, później w Buczaczu — objaśnia Katz mówiąc o autorze drugiego listu. Podczas wojny w Wiedniu, a w ostatnich trzech latach w Tarnowie. Był on jednym z najwybitniejszych talmudystów swego czasu, specjalizował się zaś w nauce, w jej różnych odgałęzieniach, zgłębiając ją do gruntu. Chociaż starał się każdy temat wyczerpać, to jednak wysławiał się bardzo krótko i lapidarnie, tak, że kiedyś wyraził się do mnie, że boi się, czy dzieła jego będą zrozumiałe i czy nie należałoby ich zaopatrzyć w komentarze. Rabin Arak był słabowitym człowiekiem, blady, o wąskiej klatce piersiowej, a w chwilach, gdy przejmował się dyskusją, ciało jego drgało. Twarz pokryta była zmarszczkami. Pomimo to jednak wyczuwało się w nim wielkie dziecko. Było to dziwne połączenie niezwykle wykształconego i precyzyjnie myślącego uczonego z człowiekiem o prostych, nieraz dziecięcych upodobaniach. Na pierwszy rzut oka zauważało się jego niezwykle wąskie czoło i świdrujące orle oczy.

Powoli napięcie, które panowało dotychczas, ustępowało miejsca pogodnemu spokojowi. Zabieram się do spisania protokołu, a dyktuje go Schermann i rabin Katz. Obaj rabini podają Schermannowi rękę, a wielkie ich uznanie wyraża się w serdecznym shakehandzie. Ale na tem nie koniec: do białego świtu ciągnie się dyskusja między Schermannem a Katzem. *(ciąg dalszy nastąpi).*



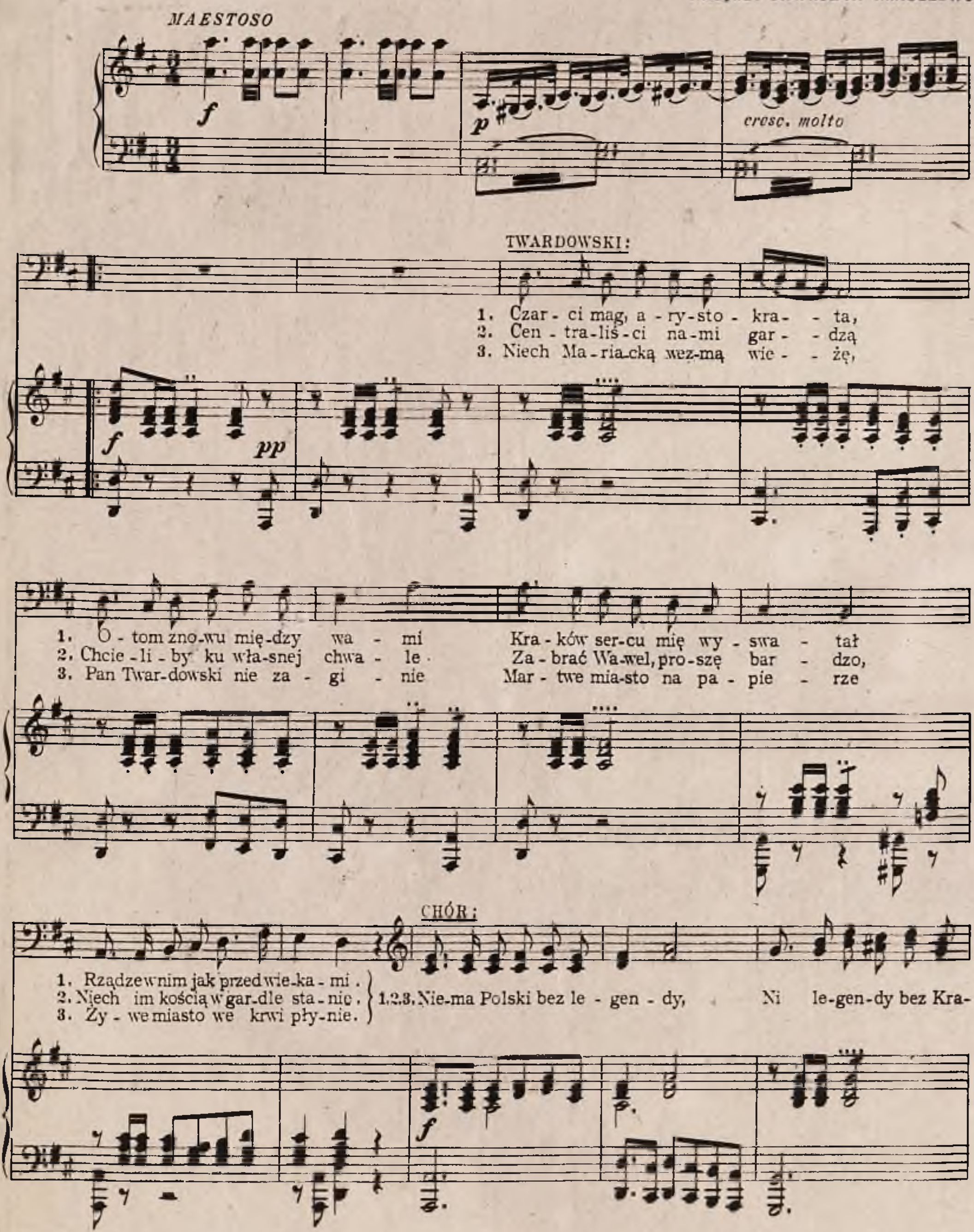
NOCNY POŁÓW

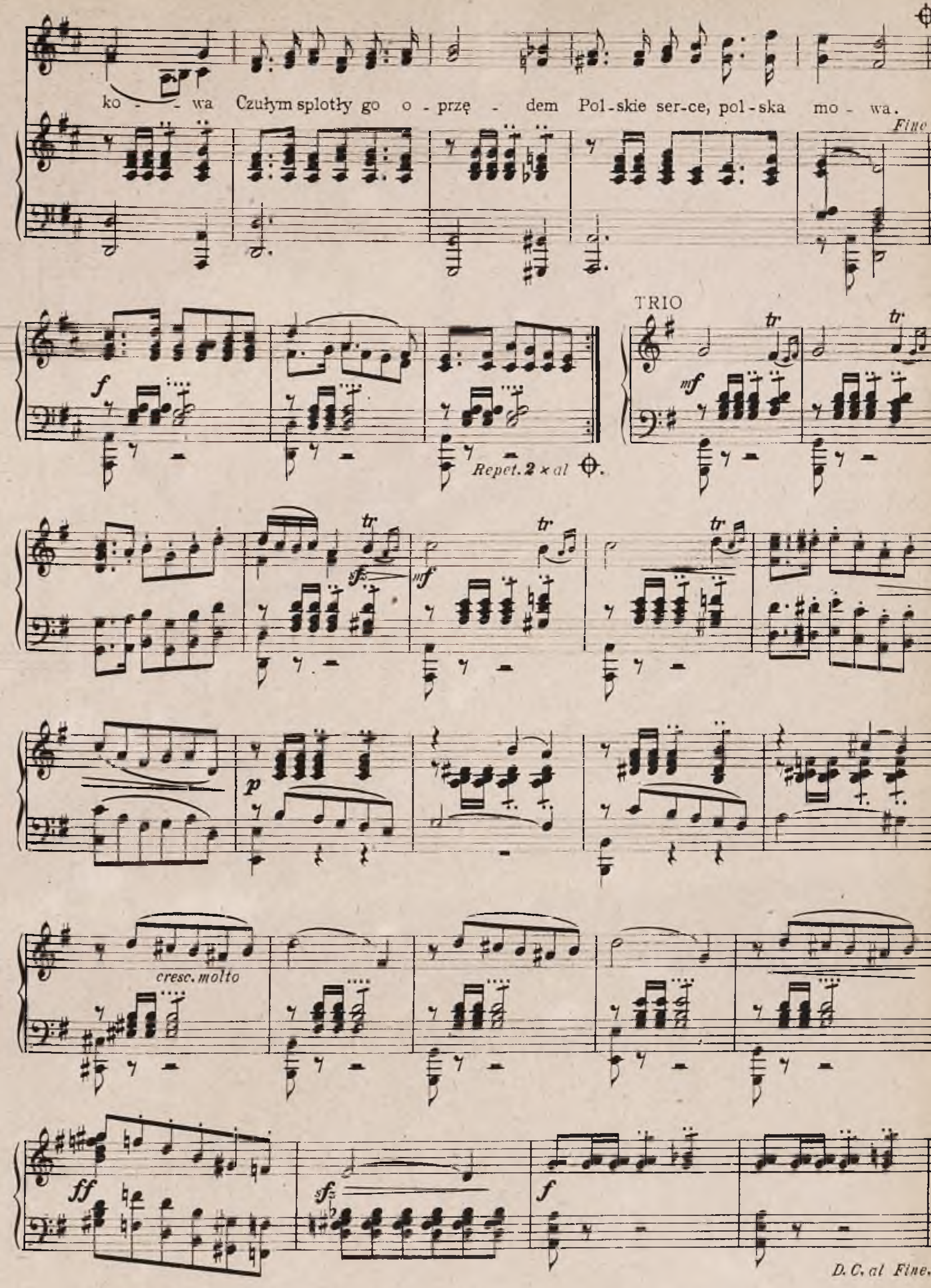
Z TEKI MUZYCZNEJ „ASA":

POLONEZ TWARDOWSKIEGO

z „Kawalera księżycowego" Marjana Niżyńskiego.

Muzyka: STANISŁAW MIKUSZEWSKI





KAWALER KSIĘŻYCOWY

ZABAWA KRAKOWSKA

Napisał Marjan Niżyński dla Krakowskiej Konfraternji Teatralnej

NA „DNI KRAKOWA"

INTERMEZZO II.

BLIŹNIĘTA

(poprzedzone przygrywką skrzypiec, trzymają się za ręce)

— Ja jestem Polska!
— Ja jestem Francja!
— Wspólna historja.
— I wspólna gwarancja
— Leszek i Mieszek.
— Jeden orzeszek.
— Bardzo mi miło.
— Bardzo się cieszę. *(całują się).*

NIEDŹWIADEK

(poprzedzony przygrywką cymbałków i tamburina. — W ręce trzyma świecę).

BLIŹNIĘTA

(jedno znika — w stronę publiczności)

— Mieszeczku ratuj! — Niedźwiedź nadchodzi!
— Nie chcę! I cóż mię to może obchodzić?

(bliźniak rzuca się na ziemię).

NIEDŹWIADEK

(obwąchuje go. Kręci nosem. Klepie i podnosi z ziemi).

Te panie Bliźniak. Schowałem pazury!
Nie zjem cię.

BLIŹNIAK

Serjo?

NIEDŹWIADEK

Pilnuj własnej skóry!
Kradną. Z nawyku czy też przez złośliwość!

BLIŹNIAK

A co zgubiłeś?

NIEDŹWIADEK

Głupstwo. Sprawiedliwość.

BLIŹNIĘTA *(podchodzą do siebie)*

— Jakże mi miło.
— Jakże się cieszę.
— Leszek i Mieszek.
— Wspólny orzeszek.
— Wspólna historja.
— Wspólna gwarancja!
— Ja jestem Polska!
— Ja siostrzyca Francja! *(całują się).*

NIEDŹWIADEK

Jesteś!

WAGA

(wchodzi poprzedzona biciem bębnów. Ma zawiązane oczy)

Odważam sprawy jednakowo
Dla zdrajców stryczek, dla warchołów bat
Dla sprawiedliwych niosę dobre słowo
Ślepą wyrocznią jestem

NIEDŹWIADEK *(przygląda jej się dobrze)*

Akurat

WAGA

Karze nieufnych ma sroga ślepota

NIEDŹWIADEK

(zachodzi jej drogę i ustawia się tak, by potknęła się i przewróciła)

Ślepa. O, trafisz ty koso na kamień.

WAGA

Cóż sobie myśli ten niedźwiedź niecnota.

(kopie go z całej siły w krzyż).

NIEDŹWIADEK

Oj, to ty widzisz?

WAGA *(zdejmuje opaskę)*

Mam dobrego nosa
Nie tylko prawda. Tylko prawda naga.

NIEDŹWIADEK

Trochę ty inna byłaś za mych czasów.

WAGA

Się mi podoba...

NIEDŹWIADEK

Więc wracam do lasu. *(gasi świecę i odchodzi).*

BLIŹNIĘTA *(ryczą ze śmiechu)*

RYBY

(wchodzą, poprzedzone przygrywką fletu)

RYBA I

Ładną zabawkę ma w ręce.

RYBA II

To waga.

RYBA I

Jak
Się nazywa ta największa z wag
Silna, pilna
Choć cywilna
której lęka się bałagan
I której tak brak?

RYBA II

Od-waga.

RYBA I

(klaszcze w dłonie a potem kładzie palec na ustach).

RYBA II

Jak
Się nazywa ta waga
Której krzykaczom brak
A która miłości pomaga?

RYBA I

Roz-waga.

RYBA II

(klaszcze w dłonie a potem kładzie palec na ustach)

RYBA I

A ty mi powiedz jak
Się nazywa najpiękniejsza z wag
Reprezentacjom naszym której brak
Bez której wszystkie intencje
Interwencje, konferencje
Trafia szlag...

RYBA II

To jakaś błaga.
A, wiem już. Po-waga!

RYBA I

(klaszcze w dłonie, znak milczenia).

RYBA II

Osiągnie ja cyklista
Linoskoczek i turysta
Lecz nie zdobędzie jej bez draństw
Żaden rząd wielkich państw.

RYBA I

Ym. To namysłu wymaga...

RYBA II

(zniecierpliwiona czekaniem, macha ręką)

Równo-waga.

RYBA I

Jakby gdyby
Coś za język pociągali
To myśmy nic nie gadali.
W mętnej wodzie silent ryby.

(kładzie palec na wargach).

RYBY *(znikają)*

SIEDMIU RYBAKÓW I SYRENA

★

JOSÉ MORA GUARNIDO

AUTOR. TŁUM. H. HELLERÓWNY

Siedmiu oniemiałych ze zdumienia rybaków wpatrywało się w nieoczekiwane zjawisko, które uśmiechało się do nich z pośród fal. Barka z opuszczonymi żaglami kołysała się łagodnie wśród morskiej ciszy. Cała siódemka wychylała się daleko poza burtę i zasypywała piękną kobietę pytaniami:

— Kto jesteś?

— Jak się nazywasz?

— Czy nie miałabyś ochoty wejść na pokład?

— Może pojechałabyś z nami?

— Czy ci nie zimno?

— Może napiłabyś się wódki?

Ale ona pływała tylko zręcznie wokół okrętu, patrząc na nich i uśmiechając się w milczeniu, jak dziecko, podziwiające piękną zabawkę.

W pobliżu znajdowała się gęsto zalesiona, niezamieszkała wysepka, którą oblewało stale wzburzone morze.

— Wiecie co? — rzekł kapitan — rzucimy jej linę i damy jej gestami do poznania ażeby weszła na pokład.

I gruba lina szerokim łukiem wpadła w wodę, pływaczka ujęła ją z radosnym okrzykiem i wyłoniła się nawpół z fal. Zupełnie naga, ozłocona promieniami słońca, lśniąca wodą, która kroplami, jak iskrzące się brylanty spływała z jej śnieżno-białego ciała, wydawała się jakimś cudem z bajki.

— Wciągniemy ją na pokład — oświadczył z zapałem kapitan.

Ciągnęli ostrożnie linę, której pływaczka się uczepiła. Wspierając się na kadłubie okrętu wdrapywała się powoli w górę. Jednym susem wskoczyła na pokład i zaczęła suszyć rękoma swe przemoczone włosy, które otulały ją jak złoty płaszcz. Bez najmniejszego wstydu wstrząsała swem smukłem, nagiem ciałem, jak zmoczony ptaszek, aż woda pryskała i rozglądając się z ciekawością wokoło, osuszała piersi i ręce.

Siedmiu rybaków przyglądało jej się z zachwytem i znowu posypały się pytania:

— Czy mieszkasz tam na wysepce?

— Kąpiesz się zawsze popołudniu?

— W jaki sposób tutaj się dostałaś?

— Czy nie umiesz mówić?

Obrzucała wzrokiem każdego z nich, lecz odpowiedź jej ograniczała się do czarującego uśmiechu.

— Nie rozumie naszego języka! — zawołał wkońcu jeden z rybaków.

Kapitan, który dotychczas zachowywał się milcząco i obserwował, zbliżył się obecnie do pięknej kobiety, położył jej rękę na ramieniu, spojrzał jej uważnie w oczy i powiedział niespokojnym głosem:

— Żeby to tylko nie była syrena!

Kobieta pogładziła kapitana po twarzy, odwróciła się nagle i obserwowała z ciekawością otoczenie. W rogu pokładu, na stosie zwiniętych lin, leżała stara harmonijka, która poruszona przypadkiem wydała niemiły dźwięk. Przestraszona nieoczekiwanym hałasem nieznajoma krzyknęła piskliwie, a potem wybuchnęła srebrzystym śmiechem, który rozszedł się daleko ponad kędzierzawą powierzchnią morza i wrócił z wyspy jak echo.

Siedmiu rybaków, nie opuszczając kobiety ani na krok zaśmiało się także.

— Zdaje się, że ona lubi muzykę, Manuelu, zagraj coś — rozkazał kapitan majtkowi, który w wolnych od zajęć chwilach śpiewał, przygrywając sobie na harmonji. Manuel wziął instrument i zaczął grać smętną melodję, pochodzącą z jego ojczyzny. Słuchała uważnie.

— Zaśpiewaj coś do tego — rzekł kapitan.

I Manuel śpiewał poważnym głosem marynarzy wszystkie melodje, któremi podczas długich wieczorów spędzanych na morzu, urozmaicali sobie samotność i w których przejawiały się ich nadzieje.

Gdy umilkł, nieznajoma usiłowała wydawać podobne dźwięki, co rybaków niezmiernie ubawiło.

— Ona chce także śpiewać! — wołali, śmiejąc się.

Jeden z nich wyjął flaszkę wódki i podał jej. Wypiła jeden łyk, lecz skrzywiła się, gdyż alkohol był tak silny, że łzy zjawiły się w jej oczach. Mężczyźni uraczyli się wszyscy wódką.

Nie było ani wiaterka. Żagle zwisały z masztu. Niewielka barka kołysała się lekko to w jedną, to w drugą stronę, jak hamak, a woda pluskała i bulgotała cicho.

Ale powoli spojrzenia, któremi załoga okrętu obejmowała syrenę, zmieniały się. Ciekawość przeobraziła się w pożądanie. Języki przesuwały się, mlaskając po suchych wargach, a z oczu znikał wyraz niedowierzania. Ta stojąca przed nimi kobieta o skórze jak opal nie była czarodziejską istotą, była z krwi i kości... Ale skąd pochodził ów srebrny blask wokół jej białego ciała, ta rosa na jej skórze, z której woda dawno już spłynęła i zmoczyła deski u jej nóg, jakgdyby ze słoniowej kości?

Ci przywykli do samotności mężczyźni, którzy nie wiedzieli czem zająć swe umysły, byli niezwykle podnieceni obecnością pięknej kobiety, której błyszcząca nagość przypominała urok wspaniałego, świeżo dojrzałego owocu.

Siedm par oczu, wpatrzonych w przepiękne ciało, lśniące różowawo w blasku słońca, „pożerało" piękne ciało syreny. Silne pięści drżały z powstrzymywanego pożądania. Zapach morza wydobywał się z cudownych, rozpuszczonych włosów, kształtnych piersi, czerwonych ust, ramion i rąk, które zachowały delikatne, kobiece linje, pomimo dobrze rozwiniętych mięśni.

Usiadła na stosie zwiniętych lin okrętowych, założyła ręce, a potem położyła się na wznak i patrzyła w niebo. Wokoło niej pozajmowali miejsca mężczyźni, opierając głowy na łokciach. Manuel grał na harmonijce i śpiewał półgłosem. Inni milczeli; wytworzyła się naprężona atmosfera. Słychać było jedynie plusk wody i skrzypienie kołyszącego się okrętu...

Nagle kobieta wstała, pogłaskała wszystkich mężczyzn po twarzy, uśmiechnęła się uroczo, skinęła im ręką na pożegnanie i jednym susem wskoczyła w morze. Stało się to tak szybko, że mężczyźni nie zdążyli nawet się zerwać.

— Czekaj-że! Nie odchodź! — krzyczał kapitan. Ale nadaremnie.

Szybkimi, silnymi ruchami płynęła już w kierunku wyspy, od czasu do czasu odwracając głowę w ich stronę. Mężczyźni stali zwartym szeregiem przy burcie i dawali jej znaki. Zniknęła w wodzie, a potem wychyliła się jeszcze raz, daleko, daleko... Przesuwała się po falach jak biała mewa. Znikała z oczu coraz bardziej, aż wkońcu w oddali widniał jedynie złoty punkcik.

— Może mieszka na wyspie? — rzekł jeden z rybaków, mając jeszcze jakąś słabą nadzieję.

— Kto wie czy ona jednak nie jest syreną? — zauważył zamyśliwszy się kapitan.

* * *

Przez całą noc barkę wstrzymywała zupełna cisza na morzu. Zaledwie nad morzem zaświeciły pierwsze promienie słońca, syrena pojawiła się znowu. Pochwyciła koniec rzuconej jej liny i rozradowana wspięła się na pokład.

W ręku trzymała skórzany woreczek z dziwnemi podarunkami dla rybaków: kamyczkami, muszlami i koralami, czerwonemi jak krew... I to wszystko rozdzieliła pomiędzy swych przyjaciół jak dziecko, które ofiarowuje swe zabawki.

Ośmieleni obejmowali ją, całowali, a ona przyjmowała te pieszczoty zupełnie spokojnie. Dotykali szorstkiemi rękami jej ramion, bioder i piersi.

— Zabierzemy ją może z sobą? — szeptali sobie.

— Musimy ją nauczyć mówić.

— Trzeba jej kupić suknie.

— Pozostanie zawsze z nami na statku!

Kapitan ciągle jeszcze się zastanawiał nad tem, czy ona nie jest syreną. W międzyczasie radośnie obdzielała pieszczotami mężczyzn, których gorące pocałunki zdawały się jej sprawiać przyjemność. Jeśli jednak ktoryś z mężczyn usiłował zbyt silnie przytulić ją do siebie, odtrącała go z nieoczekiwaną gwałtownością, a z jej ust wyrywał się okrzyk.

Flaszka z wódką nie przestawała krążyć pomiędzy mężczyznami. Podnieceni alkoholem i budzącem się pożądaniem postanowili zatrzymać nieznajomą na statku. Półgłosem ułożono cały plan. W każdym razie należało zapobiec temu, by ponownie wskoczyła w morze. Ułożyli się, że ta kobieta będzie ich wspólną własnością i że każdy będzie miał do niej równe prawa. Miała być kochanką ich wszystkich, umilić każdemu z nich życie w czasie długich, samotnych podróży. Postanowili nie zazdrościć sobie wzajemnie: syrena miała należeć do nich wszystkich, jak dzban wina, z którego wszyscy pili, albo miska, w której się myli. Wietrzyk, który się zerwał, zdawał się sprzyjać ich zamiarom. Zabrali się natychmiast do dzieła, odwiązali żagle, podnieśli kotwicę, krzątali się z zapałem. Kilku z pośród nich starało się odwrócić uwagę nieznajomej od ich czynności, podczas gdy reszta pracowała gorączkowo. Co za ruch zapanował nagle na pokładzie! Rozlegały się krótkie rozkazy, ręce drżały z podniecenia, najśmielsze marzenia i nadzieje świtały w rozgorączkowanych umysłach... Niebawem wszystko miało się rozstrzygnąć! Wówczas będą pewni, że ona im się już nie wymknie!

Ale kiedy wszystko było już w najzupełniejszym porządku i barka przecinała fale, płynąc z rozwiniętemi żaglami, nieznajoma uderzyła niespodziewanie jednego ze swych strażników silnie w głowę, podstawiła drugiemu zręcznie nogę, tak, że potoczył się po pokładzie i śmiejąc się głośno, wskoczyła odważnie w morze.

— Uciekła! — biadał kapitan, który stał przy sterze. Zatrzymał statek. I znowu rybacy stali przy burcie i patrzyli na pływaczkę, która tak samo jak poprzedniego dnia pewnemi i zręcznemi ruchami rozdzielała fale. Jej wesoły, dźwięczny uśmiech docierał do nich; z pośród spienionych fal przesyłała im ostatnie pozdrowienia.

— Teraz już jej więcej nie zobaczymy! — zawołali zasmuceni rybacy niemal jednogłośnie.

— To napewno syrena — rzekł z powagą kapitan. — Zadrwiła sobie z nas!

— A może ona jutro znów się zjawi? — powiedział rozmarzony Manuel.

* * *

Rybacy nie mieli pojęcia o tem, że w małej, ukrytej zatoce, w pobliżu wyspy, znajdował się jacht pani Edwin, przepadającej za awanturniczemi przygodami, ekscentrycznej miljonerki amerykańskiej, która rozwodziła się już kilkakrotnie ze swymi mężami i nie cofała się nawet przed najbardziej ryzykownymi wyczynami sportowemi. Piękna kobieta zdobyła już wiele nagród jako pływaczka i tych siedmiu ludzi — właśnie dlatego, że byli oni tacy prości, przebywali na łonie natury i posiadali instynkty prymitywne — potrafiło dostarczyć nowych, sensacyjnych wrażeń kobiecie tak zblazowanej i przesy-

Dokończenie na str. 31-ej.

„CARESSES DES FEMMES"

Miss Lorna Rode znana artystka rewjowa paryskiego „Alcazaru". Fot. Francis C. Fuerst.

Tajniki letniego maquillage'u

★

Już od miesiąca noszą piękne panie jasne, kolorowe sukienki letnie, zgrabne, krótkie, młodzieńcze, wymagające odpowiedniego maquillage'u i odpowiedniego pudru. Nie może to być maquillage zimowy o tonach ostrych, obliczonych na pochmurne ciemne dni i przytłumione światło lokali kawiarnianych.

Promienie słońca zadrwiłyby okrutnie z takiej twarzy, nie harmonizującej ani trochę z przepychem barw nieba, kwiatów i soczystej zieleni. Zbyt silnie podkreślone oczy wyglądałyby jak w otoku zmarszczek, niebieskie cienie na powiekach znamionowałyby tylko zmęczony wyraz oczu, a szkarłatne usta i śmiało zabarwione policzki, nie miałyby wyglądu owej świeżości, która jest marzeniem każdej kobiety.

Poszukajmy dla siebie na lato odcieni maquillage'u bardziej stonowanych. Zamiast kremu, używanego do podkładu pod puder, używajmy płynów, które w postaci t. zw. mleka produkują firmy kosmetyczne, lub też zawczasu pomyślmy o specjalnej oliwie, która pod wpływem słońca zabarwi nam policzki zdrową opalenizną. Dobierajmy róż nieco ciemniejszy a puder o jeden ton cieplejszy byleby nie przechodził w tony żółte. Karmin do ust niechaj ma odcień koralowy a lakier do paznokci w tym samym tonie, lecz znacznie jaśniejszy.

Pamiętajmy, że maquillage letni musi być bardzo dyskretny, bo światło słoneczne wzmacnia wszelkie kolory o kilka tonów.

Słońce jest doskonałym środkiem dla podtrzymania zdrowia i dla konserwowania piękności, ale trzeba się z niem umiejętnie obchodzić. Najlepiej jest przygotować się nieco na jego ostre promienie z pełni lata, co doskonale nam zrobi, bo ustrzeże od przeskoków z temperatury mieszkań miejskich do upałów nadmorskich czy zwyczajnych wiejskich wczasów.

Jeżeli wybierzemy się nad morze, to dodawajmy już teraz do zwykłych naszych kąpieli 2—3 garści soli morskiej. Poświęćmy kilka minut dziennie na przedwstępne opalanie się. Tym sposobem przyzwyczaimy cerę do gorących promieni słońca, a skórę całego ciała do działania soli morskiej.

Jeżeli mamy latem jechać w góry, zacznijmy używać kremów, mających za podstawę tłuszcz roślinny, lanolinę. Dla pobytu nad morzem wskazane są kremy o podstawie olejów roślinnych.

Przygotujmy sobie orzeźwiającą wodę pomarańczową do przemywania twarzy codziennie przed śniadaniem: skórki z 10 pomarańcz, cienko okrojone z białego mięsa, moczy się 8 dni w ćwierć litrze spirytusu 90 proc. Po odcedzeniu spirytusu z tych skórek, dolewa się do niego litr przegotowanej i wystudzonej wody.

Starajmy się też na powitanie lata przeprowadzić dezynfekcję wewnętrzną przez usunięcie toksyn, nagromadzonych przez odżywianie zimowe, pozbawione wielu witamin. Łagodne środki przeczyszczające jak olej parafinowy oddadzą tu świetne usługi.

Unikajmy napojów alkoholowych, zastępując cocktaile zwykłe cocktailami z soków jarzyn i owoców, pamiętając o dodatku miodu pszczelnego. Mała kuracja miodowa obejmuje trzyrazowo w tygodniu dziennie dawki (po łyżce).

Wczesne udawanie się na spoczynek i wcześniejsze niż w zimie wstawanie z łóżka, będą również doskonałem remedjum na zimowe spleeny.

Poprawiwszy ogólny stan zdrowia, wyglądać będziemy napewno znacznie młodziej, nawet i bez zbyt wielkiej pomocy maquillage'u i pudru.

Elwira.



1. Na suchą cerę nakładamy co wieczór cienką warstwę tłustego kremu.



2. Przed udaniem się na spoczynek ścieramy natłuszczoną twarz, pozostawiając skórę lekko wilgotną.



3. Lekki masaż twarzy dwa razy na tydzień nadaje cerze świeży wygląd.



4. Poranne zabiegi kosmetyczne kończymy lekkiem przypudrowaniem twarzy.

Łamigłówki mody męskiej



Stroje spacerowe

W okresie, gdy można jeszcze pojawiać się na ulicy w płaszczu bodaj najlżejszym, znajdzie się zawsze wielu takich, którzy zwracają stosunkowo mało uwagi na samo ubranie, bo go przecież „ludzie nie widzą". Wówczas włożenie na siebie np. do biura czy nawet na spacer starego dressu sportowego lub ubrania wieczorowego, przeznaczonego „na znoszenie", mało kto uzna za przekroczenie paragrafów kodeksu dobrze ubranego mężczyzny. A jednak taka ucieczka przed okiem bliźnich może snadnie się zemścić. Nigdy bowiem niewiadomo, czy podczas spaceru nie przyjdzie nam wstąpić w miłem towarzystwie do kawiarni, czy może zaraz potem nie będziemy musieli znaleźć się w kinie, a więc tam, gdzie już płaszcz nic nam nie pomoże. I wówczas „ubranko do znoszenia", napewno nie reprezentacyjne, zmusi nas albo do zrezygnowania z tych przyjemności, albo spowoduje ujemny sąd o naszej elegancji. Dlatego najlepiej zawsze być przygotowanym na wszelkie ewentualności.

Powyższy problem przestaje być wogóle aktualny w pogodne, upalne dni lata. Pokazujemy się wtedy „do figury" i ubranie nasze musi być bez zarzutu, a więc odpowiadać modzie, obowiązującej w danym sezonie. Strój spacerowy, który przecież nosimy przez większą część dnia, spełnia w lecie rolę naszego cywilnego munduru. Zmieniamy go najwyżej wieczór, gdy idziemy do teatru, klubu lub na dancing. Należy w nim unikać silniejszych akcentów sportowych, które stają się zrozumiałe dopiero po wyjeździe z miasta. Najlepiej więc zrezygnować z różnych dragonów, szliców, kontrafałdów i zachować gładką linję kroju zarówno w dwu, jak i w jednorzędowej marynarce. Wzory materjałów oscylują między paskami i kratką. Kapelusze z cienkiego filcu lub słomki, buciki z zamszu, a krawaty i bielizna w barwach silnie kontrastujących.

BRUMMELL.

FUTRA NOSI SIĘ NIETYLKO W ZIMIE..



Moda letnich futer jest u nas stosunkowo mało rozpowszechniona. A zdawałoby się, że przyjąć się powinna tembardziej, że klimat nasz w lecie umie robić niespodzianki, darząc nas — szczególnie nad Bałtykiem i w górach — bardzo chłodnymi wieczorami nawet po dniach pogodnych. Przyczyną tego jest niewątpliwie mniejsza, niż w wielkich państwach zachodnich zamożność szerokich warstw, które niezawsze stać na jedno futro na zimę, a cóż tu marzyć o fantazyjnych futrach letnich.

Oczywiście, że tak modne dziś cape'y z drogocennych lisów srebrnych i platynowych, niebieskich i polarnych, to luksus, na który niekażdy może sobie pozwolić. Ale można zastąpić je futrem tańszem, które również będzie wyglądać bardzo elegancko i spełni zadanie cieplejszego okrycia na chłodne wieczory. Mając np. zniszczone już nieco futro zimowe, można z lepszych skórek wykroić zawsze jeszcze jakąś pelerynkę czy bolerko, czyto z selskinów czy z breitschwanzów lub popielic. Niedrogie jest również futro krecie, które nadaje się doskonale na takie lżejsze zarzutki trzyćwierciowe, pelerynki lub krótkie żakiety. — Istnieją również doskonałe imitacje szlachetnych futer, niedrogie a efektowne.

Dla tych wybranek losu, które z kosztami nie potrzebują się liczyć, wybor jest ogromny. Obok wspomnianych już cape'ów z lisów, noszone są w tym roku fantazyjne żakieciki i peleryny z gronostaji białych lub farbowanych, o skórkach kunsztownie zestawianych w pasy ukośne, rozchodzące się promienisto, pionowe lub poprzeczne. Widuje się również gronostajowe cape'y z kapiszonami, co szczególnie dla młodych osób jest niesłychanie twarzowe. Do letnich tualet wieczorowych zawsze też chętnie widziane są nurki i sobole, układane najczęściej w pasy pionowe, co przyczynia się do wysmuklenia sylwetki i dlatego bywa dziś specjalnie stosowane przy futrach puszystych, o długim włosie, które z konieczności nieco ją poszerzają. Zwracamy uwagę, że unikać ich powinny panie niskiego wzrostu, a nieco okrąglejszych kształtów. Dla tych zawsze korzystniejsze będą futra o krótkim włosie, jak krety, gronostaje, breitschwanze itp.

Lady Like.

Wspaniały, wieczorowy cape z lisów polarnych. — Model: Marcel Rochas, Paryż. — Fot. Georges Saad.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

CHŁODNIK Z BOTWINKI. Liście zupełnie młodych buraczków, odcięte wraz z łodyżkami, płucze się dokładnie, osącza na sicie, następnie kraje się drobno i gotuje wraz oskrobanymi małymi buraczkami, odciętymi poprzednio od liści, do gotowania dodaje się też młodą cebulkę wraz z nacią i troszką koperku. Wygotowany i odcedzony smak, zaprawia się solą, cukrem i kwaskiem cytrynowym, zalewa szklanką śmietany rozkłóconej z łyżeczką mąki oraz 1—2 żółtkami i zagotowuje wśród ciągłego mieszania. Do barszczyku dodaje się drobno pokrajane wygotowane buraczki i troszkę listków oraz łyżkę posiekanego kopru. Chłodnik podaje się z lodu z twardem jajem.

SOS HOLENDERSKI DO SZPARAGÓW. Filiżankę rosołu zagotowuje się z kawałkiem skórki cytrynowej. Osobno uciera się łyżkę masła deserowego z trzema żółtkami, dolewa do tego gorący rosół i zagotowuje, mieszając ciągle, aby się żółtka nie ścięły. Po odstawieniu z ognia, nadaje się smak sokiem cytrynowym, solą i szczyptą cukru, którego się w sosie nie śmie wyczuwać, dodaje się go tylko dla złagodzenia smaku soku cytrynowego. Odrobinę gałki muszkatułowej i białego pieprzu można dodać, lecz tylko dla amatorów.

RAGOUT SZPARAGOWE Z SZYJKAMI RAKOWEMI. Z ugotowanych w słonej wodzie z kostką cukru, drobniejszych szparagów, odcina się i odkłada główki, resztę przeciera się przez sito i miesza z lekką zasmażką, sporządzoną z łyżki świeżego masła i takiejże ilości mąki. Masę tę rozprowadza się wodą z pod szparagów, dodaje troszeczkę soku cytrynowego, zagotowuje na dość gęsty sos, do którego wkłada się odcięte główki szparagowe i trochę szyjek rakowych. Ragoût podaje się na salaterce, obłożone ryżem lub też jako przystawkę na muszelkach, posypane smażoną bułeczką i zapieczone przez kilka minut w piecyku.

MOSTEK CIELĘCY Z NADZIANKĄ Z MAKARONU. 12—15 dkg cienkiego makaronu włoskiego gotuje się w słonej wodzie przez 5 minut, poczem się go osącza na sicie. 5 dkg masła i 2 żółtka uciera się dokładnie, miesza z ugotowanym makaronem, dodaje 8—10 dkg siekanej wędzonki lub okrawków szynki, pianę z 2 białek i dwie łyżki tartej bułki. Masa ta wystarcza do napełnienia dwukilowego mostka cielęcego, który po zaszyciu należy sparzyć wrzącą wodą, skutkiem czego mięso pozostaje po upieczeniu wewnątrz białe. Obsuszony po wierzchu z wody mostek, układa się w brytwance na rozpalonem maśle, oblewa masłem i piecze w gorącym piecyku, naprzód pod pokrywą, potem otwarty, przy częstem polewaniu masłem i sokiem, wypływającym z pieczeni, przyczem można w razie potrzeby dolać od czasu do czasu łyżkę wody. Miękki zupełnie mostek, tj. kiedy już kostki łatwo dadzą się z mięsa wyjąć, posypuje się suto tartą bułką, oblewa masłem i zapieka na niem kruchą skórkę. Po wyjęciu z piecyka, a przed pokrajaniem, należy mięso przestudzić, aby się dało ładnie w równe plastry pokrajać. Zestawione w całość i oblane sosem z pod pieczeni wstawia się jeszcze na chwilkę do piecyka, celem ogrzania, uważając, aby się nie zapiekło, bo straci na wyglądzie.

NOWE ZIEMNIACZKI Z TWAROŻKIEM. Młodych ziemniaczków nie należy obierać ani skrobać, lecz tylko opłukać szybko z ziemi w kilku wodach, nie mocząc ich długo, następnie wysypać je na grubą ściereczkę posypaną solą i wycierać tak długo aż zwierzchu łupka zejdzie. Tak przygotowane, kładzie się je do garnka, wlewa na dno pół szklanki gorącej wody, dodaje pęczek kopru i zielonej pietruszki oraz łyżeczkę masła i więcej dusi niż gotuje na szybkim ogniu. Na salaterce oblewa się je rumianem masłem z bułeczką i posypuje twarożkiem.

KREM POZIOMKOWY LUB TRUSKAWKOWY. Pół litra poziomek lub truskawek przeciera się przez włosiane sito i stawia na lodzie. 4 żółtka i 10 dkg cukru uciera się razem, dolewa pół litra gorącej śmietanki i ubija na parze na gęsty krem, do którego dodaje się 2 dkg żelatyny, osobno rozpuszczonej w troszce gorącego mleka lub wody. Rozpuszczoną żelatynę należy dolewać przez sitko, aby się nie tworzyły grudki. Krem z żelatyną ubija się dalej aż do ostudzenia, poczem miesza się z przetartym owocem oraz z szklanką ubitej na piankę kremówki i zastudza w formie lub tylko na kryształowej misce, w lodzie. Podaje się z waflami lub biszkoptami.

RÓŻA SMAŻONA. Do 25 dkg obranych z białych koniuszków róży, przygotowuje się 1 kg cukru. Różę wraz z połową cukru zesypuje się na porcelanową miskę i ugniata rękami na jednolitą masę, poczem się miskę przykrywa i odstawia. Na drugi dzień gotuje się pozostały cukier z pół litrem wody, zbiera z syropu nieczyste piany, dodaje odstawioną różę i smaży przez 20 minut, szumując pilnie. Wkońcu dodaje się łyżeczkę kwasku cytrynowego, smaży jeszcze przez 5 minut i zlewa do słoików.

RZYMSKI KREM. 4 żółtka, 15 dkg cukru, 2 łyżki rumu i łyżeczkę dobrej mąki, ubija się na parze na gęsty krem. Po odstawieniu z ognia, należy dalej ubijać aż do zupełnego ostudzenia. Przed podaniem dodaje się pół litra ubitej na piankę kremówki, napełnia szklaneczki i przybiera poziomkami lub ananasem.

Sc. Ko.



PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI DLA PAŃ DOMU



Bardzo praktycznym w gospodarstwie domowem okazuje się kominek-grzejnik, który zapewnia nam utrzymanie temperatury ciepłego napoju. Stawiamy go na dzbanku z gorącą wodą, na nim zaś filiżankę z herbatą lub kawą, przyczem minjaturowy korek uszczelnia tę instalacje cieplną.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 24 **Czerwiec** Dni 30
Niedziela **11** Barnaby ap.	 Barszczyk z lodu z jajem. Ragoût szparagowe na muszelkach. Kurczęta z nadzianką koprową z mizerją. Suflet cytrynowy. Kolacja: Jaja w galarecie z sałatą.
Poniedziałek **12** Onufrego	Zupa szczawiowa z ryżem. Móżdżek cielęcy w krokietkach. Zrazy bite z kaszką krakowską. Naleśniki z serem w śmietanie. Kolacja: Kalafior z masłem.
Wtorek **13** Antoniego Pad.	Zupa z zielonego groszku z płatkami. Nóżka cielęca faszerowana. Polędwica wieprzowa z młodemi ziemniaczkami i sałatą. Kisiel z agrestu. Kolacja: Szparagi z sosem holenderskim.
Środa **14** Bazylego	Rosół "Julienne". Sztuka mięsa z sosem agrestowym. Rozbef z garniturem z jarzyn. Kompot mieszany. Kolacja: Jaja na szpinaku.
Czwartek **15** Wita i Modesta	Chłodnik ogórkowy. Kalarepka z masłem. Mostek cielęcy z nadzianką makaronową z mizerją. Omlet z konfiturami. Kolacja: Sałata włoska z bułką.
Piątek **16** Justyny	Perłówka na śmietanie z koprem. Leniwe pierogi. Karp w galarecie. Ryż z konfiturami i bitą śmietaną. Kolacja: Kasza tatarczana z kefirem.
Sobota **17** Jakuba Str.	Zupa owocowa z grzankami. Budyń jarzynowy. Wątróbka cielęca po wiedeńsku z sałatą. Krem agrestowy z kruchemi ciastkami. Kolacja: Jaja w szklance. 

HOCKI-KLOCKI

NIEPOTRZEBNE WYZNANIA.



— Muszę się panu przyznać, panie Braun, że jestem kobietą z „przeszłością“!
„Esquire“.

POGWARKA ROZBITKÓW NA WYSPIE.



Ojciec młodej dziewczyny: — O co panu właściwie chodzi?
Młodzieniec: — Nie mogę dłużej ukrywać, że kocham się w pańskiej córce...

WSZYSTKO W SWOIM CZASIE.



— Obecnie, gdy wyszłam za ciebie zamąż, uważam, że siadanie na kolanach jest wysoce niewłaściwe... („Esquire“).

Rozwiązanie z Nru 22-go.

LIST.

A musi być 1, a B i C muszą zastępować 6 lub 2, bądź 3 lub 5; jednak z równania trzeciego wynika, że są one 3 lub 5, i dlatego D musi być 7. Więc E=8 (z równania D×E=CH, gdzie C=5). Wskazanie wartości liczbowych dla pozostałych liter jest już łatwe.

A więc: A=1; B=3; C=5; D=7; E=8; F=9; H=6; 7=4; K=2; L=0.

DOROTA.

Dorota ma 23 lata. Ojciec jej liczy 59 lat. a matka 41. Jedyne liczby pierwsze, których suma wynosi 100, są 53 i 47, ale wtedy Dorota musiałaby mieć 41 lat, a jej matka 29 (ojciec 71), co jest oczywiście niemożliwe.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

SKOMPLIKOWANE STOSUNKI.

W pewnem małem miasteczku wytworzyła się dziwna sytuacja. Czterej przyjaciele, p. Kowalski, p. Malarski, p. Piekarski i p. Stolarski, są z zawodu kowalem, malarzem, piekarzem i stolarzem, lecz żaden nie ma zawodu, odpowiadającego jego nazwisku. Każdy z nich przytem ma syna, który praktykuje u jednego z pozostałych przyjaciół, jednak i tu przyszłe zawody synów nie odpowiadają ich nazwiskom.

Ostatnia wizyta w tem miasteczku wyjaśniła nam pewne fakty. Młody Piekarski jest mężem siostry przyszłego stolarza, a siostra jego ojca wyszła za obecnego stolarza. Pan Kowalski jest mężem owdowiałej matki piekarza. P. Malarski nie ma córki. Jakich zawodów są czterej przyjaciele i jakie zawody obrali sobie ich synowie?

ZNOWU O PROF. UŁAMKU.

„Wczoraj między drugą a trzecią godziną“ — opowiada prof. Ułamek — „popatrzyłem na zegar i pomyliłem wskazówkę małą z dużą, tak, że wydawało mi się, że była godzina o 55 minut wcześniejsza, niż w rzeczywistości“.

Którą godzinę zegar faktycznie wskazywał?

MOTOCYKLIŚCI.

Motocyklista wyrusza z punktu A do B, odległych o 20 km. Gdy ujechał już 1 km, drugi motocyklista wyrusza z A również do B. Obydwaj motocykliści przez pierwsze 15 km. jechali z szybkością 30 km. na godzinę, zaś przez pozostałe 5 tylko z szybkością 25 km na godz. Jak daleko od B znajdował się drugi motocyklista w chwili, gdy pierwszy dojeżdżał do celu swej podróży?

W PRZYTUŁKU.

W przytułku dla inwalidów 90% pensjonarjuszów kuleje, 85% jest głuchych, 80% ślepych i 75% niemych. Należy obliczyć, jaki najmniejszy procent muszą w przytułku stanowić inwalidzi kulejący, głusi, ślepi i niemi zarazem?

Dokończenia ze str. 24-tej.

conej jak ona. Tego wieczora, otoczona swymi przyjaciółmi, opowiadała na pokładzie swego jachtu wszystkie szczegóły swej najnowszej przygody.

— Jeden z tych rybaków myślał naprawdę, że jestem syreną! — mówiła z uśmiechem.

— Zabawna przygoda! — zauważył jeden z otaczających ją stale pochlebców.

— Doprawdy coś niezwykłego — dały się słyszeć liczne głosy.

Pani Edwin leżała wygodnie na leżaku i bawiła się z uśmiechem swym drogocennym naszyjnikiem z pereł.

Noc była czarownie piękna. Jacht wypłynął na pełne morze.

— Dokąd nas pani teraz uwozi? — zapytał panią Edwin jeden z jej gości.

— Uważam, kochany przyjacielu, że czas już wrócić do Nowego Jorku i wypocząć po tych wszystkich przygodach i wzruszeniach.

Zamilkła i patrzyła zadumana na morze. A potem szepnęła:

— Chciałabym wiedzieć, co ci rybacy sądzą o ich przygodzie, czy wspominają mnie z goryczą, czy z tęsknotą? Jaka szkoda, że nigdy się tego nie dowiem...

Jeszcze przez trzy dni, pomimo pomyślnych warunków atmosferycznych, barka nie wyruszała w dalszą podróż i siedem par oczu tęsknie, lecz nadaremnie, wpatrywało się w dal. Syrena nie ukazała im się już więcej nigdy!

IDZIEMY DO TEATRU:

...w Krakowie:

— do teatru im. J. Słowackiego w Krakowie, który z dużym nakładem pracy wystawił, niezwykle rzadko graną na scenach Polski, komedję Szekspira: „Jak wam się podoba". Komedję tę znawcy twórczości genjalnego dramaturga zaliczają do arcydzieł. Z punktu widzenia techniki teatralnej jest ona bardzo trudną do inscenizacji.

W Krakowie trudu inscenizacyjnego podjął się Wacław Radulski, którego najbliższym współpracownikiem był Tadeusz Orłowicz, twórca oprawy plastycznej. Dostosowana ona jest do koncepcji reżysera i wykonana wprost znakomicie. Inscenizacja Radulskiego wzbudziła dużą dyskusję. Słusznie zarzuca się jednostajność widowiska, któremu nadano ton przerysowanej groteski i to często w partjach na taką formę sceniczną nie zasługujących.

Komedja Szekspira grana jest w nowym przekładzie Adama Polewki. Przekład ten również wzbudził dużą dyskusję. Rolę główną Rozalindy gra doskonale A. Matusiakówna, partnerem jej jako Orlando jest wyborny Z. Modzelewski. Inne role znalazły dobrych wykonawców w osobach: R. Pawłowskiej, M. Bednarskiej, Arczyńskiej, Fabisiaku, Wrońskim, Ziejewskim, Woźniku, Burnatowiczu, Opalińskim, Bobrowskim, Turskim i in.

Krakowski Teatr jeszcze raz udowodnił, że daje zawsze przedstawienia interesujące, a dyskusje, jakie wywołało przedstawienie, świadczą o wyrobionej atmosferze teatralnej miasta, do którego obecnie z okazji „Dni Krakowa" ściągają tłumy turystów z całej Polski.

...w Warszawie:

— do Teatru Malickiej, która wprowadziła na repertuar sztukę Martinez-Sierra i O. Maura pt. „Julja kupuje sobie dziecko" (przekład Z. Jachimeckiej).

Komedja ta jest utworem miłym, ale nie przedstawiającym większej wartości. Boy-Żeleński każe jednak podziwiać śliczną grę Malickiej, która „grała niemal za pięknie, za głęboko, za szczerze, ponad stan tej błahostki, ponad stan tej Julji, w której gdyby nie sugestywny czar jej interpretatorki bylibyśmy skłonni widzieć głupie i dość nieznośne dziewczysko".

...w Poznaniu:

— do Teatru Polskiego, który na zakończenie sezonu przyniósł komedję włoskiej spółki autorskiej B. Corra i J. Achille'a „Miłość będzie naszym wynalazkiem". Komedja ta graną była po raz pierwszy w polskim przekładzie w bież. sezonie w Krakowie. Rolę główną odtwarza w Poznaniu Z. Barwińska, a obok niej doskonale inne role grają Baronówna, Chodakowska, Dzwonkowski, Neubelt, Szalawski i inni.

...w Białymstoku:

— na przedstawienie Teatru Miejskiego z Grodna, który wprowadził obecnie do repertuaru graną w Warszawie z dużem powodzeniem, komedję Stefana Kiedrzyńskiego „Pensjonat we dworze". Rolę Kudelskiego gra doskonale Karol Wyrwicz-Wichrowski, bawiący w Teatrze grodzieńskim na gościnnych występach. Inne role znalazły dobrych odtwórców w osobach Gintelówny, Jasnorzewskiej, Orzeckiej, Gozdeckiej, Müllerowej, Bystrzyńskim i in.

TO CO NAJCELNIEJSZE

PRZECZYTAMY:

Coraz większe zainteresowanie dalekiemi podróżami i zagadnieniami kolonjalnemi, dające się zauważyć w naszem społeczeństwie, odbija się również na beletrystyce. Niedawno temu wyszła nakładem księgarni Nauka i Sztuka w Krakowie książka „Po złote runo" M. Dynowskiej. — Jest to książka napisana dla młodzieży, ale która również człowieka dorosłego zainteresuje, gdyż opowiada nam o losach naszej emigracji w Londynie, która zwabiona wieściami o sukcesach naszego rodaka Pawła br. Strzeleckiego w Australji wybiera się do tej mało znanej części świata, aby szukać tam szczęścia. Książka napisana jest żywo, ciekawie, zawiera dużo szczegółów historycznych, opierających się nie na fikcji, lecz na faktach. Jak zapowiada w przedmowie autorka, książka osnuta jest na wiadomościach zawartych w manuskrypcie współczesnym Strzeleckiemu. Zarówno temat, jak też zgrabnie obmyślone perypetje bohaterów czynią z tej powieści lekturę godną uwagi. **JGM.**



Stanisław Colonna-Walewski.



Okładka Witolda Marsa do książki Colonny - Walewskiego „Agnes".

\+ \+

Sięgając po nowe powieści w okresie „Dni Krakowa", poświęćmy nieco uwagi dwom nowym wybitnym talentom prozy polskiej, pisarzom krakowskim: Stanisławowi Colonnie-Walewskiemu i Mieczysławowi Lisiewiczowi. Lisiewicz jest już dobrze zapisany we współczesnej literaturze polskiej jako liryk; obecnie przerzucił się do prozy i jest w niej pozycją ciekawą, odrębną. Jego „Trop nad jeziorem", który ukazał się przed kilku miesiącami, zdobył sobie zmiejsca słowa najwyższego uznania krytyki. Powieść ta tonem swym i osiągnięciami przypomina najlepsze miejsca dzieł Orzeszkowej, Weyssenhoffa czy Dygasińskiego. Opiewa bowiem piękno i życie polskiej przyrody nad jeziorem Narocz, daje także wspaniałe portrety życia zwierząt. W dniach ostatnich ukazał się Lisiewicza „Alarm na wybrzeżu" nakł. Księgarni Powszechnej. W opowiadaniu tem potrafił Lisiewicz połączyć losy człowieka z losami stworzeń wodnych, dać pochwałę morza, związać urodę ziemi małopolskiej z urodą krain egzotycznych.

Colonna-Walewski zadebjutował przed dwoma laty powieścią wojenną „Rdzawe blaski" (Tow. Wyd. „Rój"). Daje ona znakomity w swym realiźmie opis epizodów wojennych, daje bardzo wnikliwie przeprowadzony obraz przeżyć psychicznych młodego oficera, który w roku 1914-ym z entuzjazmem wszedł w szeregi armji, by w ogniu przeżyć wojennych załamać się i wreszcie wywalczyć sobie przekonanie, że wojna jest złem koniecznem, kataklizmem nieuniknionym, dopóki ludzkość nie będzie wychowana w duchu humanitaryzmu. „Trzeba regulować stosunek poszczególnych dusz ludzkich do siebie. Nie narodów, tylko jednostek i nie w duchu pacyfizmu, lecz w duchu humanitaryzmu... Jak długo człowiek będzie jeszcze mógł zabić człowieka — bez względu na cel, dla jakiego to czyni — tak długo wojna będzie nietylko możliwa, lecz konieczna" — oto synteza myślowa dobrej książki Colonny-Walewskiego. Wydał on niedawno (nakł. Hoesicka w Warszawie) nową powieść p. t. „Agnes", która zarówno treścią swą, jak i formą świadczy o coraz to nowych zdobyczach pisarskich autora. **(swb).**



Mieczysław Lisiewicz.



Okładka Charliego do książki M. Lisiewicza „Alarm na wybrzeżu".

NA POLSKIEJ ANTENIE:

Najbliższy tydzień rozpoczynamy wysłuchaniem w niedzielę, dnia 11 bm. o godz. 11.35 transmisji koncertu z Brukseli, na który złożą się stare pieśni ludowe i melodje artystyczne, wydzwaniane przez dzwonnika katedry w Malines. — O godz. 14.45 audycja „Czytamy Mickiewicza", zaś o godz. 19.00 wieczór III „Klubu Pickwicka". — O godz. 19.30 transmisja koncertu z Wawelu: Święto pieśni młodzieży szkół powszechnych.

W poniedziałek, dnia 12 bm. o godz. 21.00 recital śpiewaczy artystki fińskiej Helvi Valkonen Mettinen.

We wtorek, dnia 13 b. m. o godz. 21.40 nadaną zostanie pierwsza część opery „Don Juan" Mozarta, w wykonaniu artystów i orkiestry opery w Gdyndebourne pod dyr. Buscha. Akt II tej opery nadany zostanie w piątek, dnia 16 bm. o godz. 21.45.

We środę, dnia 14 bm. o godzinie 19.00 Teatr Wyobraźni nadaje wieczór IV „Klubu Pickwicka". — O godz. 21.00 rozpoczyna się transmisja koncertu chopinowskiego z dziedzińca Zamku królewskiego na Wawelu. Przy fortepianie zasiądzie znakomity pianista Henryk Sztompka. W programie Preludja, Etiudy, Mazurki, Polonezy, Ballady i Nokturny. 15-minutową przerwę w koncercie wypełni szkic pt. „Współczesny Kraków literacki".

We czwartek, dnia 15 bm. o godzinie 18.00 audycja muzyczno-słowna, poświęcona pieśniom Islandji. O godz. 21.20 transmisja ze Szwecji, zatytułowana „Trubadurzy szwedzcy". — O godz. 22.25 wystąpi przed mikrofonem śpiewaczka estońska Ida Loo, która wykona pieśni Estonji. O godz. 22.00 Teatr Wyobraźni nadaje poemat ludowy pt. „Latarnia zgasła".

W piątek, dnia 16 bm. o godzinie 18.00 koncert orkiestry kameralnej „Collegium Musicum" przy miejskiem konserwatorjum w Bydgoszczy, a w programie muzyka dawna: utwory Tartiniego, Torelliego i Corelliego. — O godz. 19.00 audycja z cyklu „Książki do których się wraca". Jarosław Iwaszkiewicz mówić będzie o powieści Elizy Orzeszkowej „Nad Niemnem". O godz. 21.00 Janina Hupertowa wykona pieśni kompozytorów szwedzkich, zaś o godz. 21.25 odczytane zostaną medytacje z „Wyznań" św. Augusta.

W sobotę, dnia 17 bm. o godzinie 14.45 Teatr Wyobraźni dla dzieci nadaje słuchowisko według Oskara Wilde'a pt. „Dzień urodzin infantki". O godz. 19.00 nadany zostanie dalszy ciąg powieści mówionej H. Boguszewskiej i J. Kornackiego pt. „Charaktery". O godz. 21.00 transmisja z Wawelu pierwszego koncertu symfonicznego. W koncercie tym reprezentowane będą różne okresy polskiej twórczości, począwszy od Kurpińskiego poprzez Melcera, Szymanowskiego, Woytowicza do Lutosławskiego — najmłodszego przedstawiciela współczesnej muzyki polskiej. Wykonanie tych kompozycyj powierzono sławnej śpiewaczce Ewie Bandrowskiej-Turskiej, znanemu pianiście J. Smidowiczowi i zwiększonej orkiestrze P. R. pod dyr. G. Fitelberga.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca. — Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczenia egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji. — Zakłady Graficzne "IKC", Kraków, Wielopole 1, pod zarz. Fr. Czajki. Miejsce wydania: Kraków, Wielopole 1.